

Świat należy do niewrażliwych. B. J. Jenne.



Caracas, Wenezuela.

Florian Śmieja (*Mississauga, Kanada*)

Wielu Polaków przeszło koleje godne epopei. Do nich zaliczę

Beniamina Józefa Jennego urodzonego w Warszawie w 1913 roku. Oddany od wczesnych lat ideologii lewicy po wojnie znalazł się w zarządzie miasta Warszawy. Nie mogąc pogodzić się z rozwojem sytuacji politycznej, już w roku 1948 uszedł do Szwecji.

W tymże roku kończyłem studia uniwersyteckie w Irlandii, kiedy do portu w Cork zawinął okręt z demobilu „Victoria” wiozący kilkuset uchodźców z krajów bałtyckich. Płynęli oni ze Szwecji do Kanady, aby próbować szczęścia w Nowym Świecie. Byli to głównie Liwini, Łotysze i Estończycy, ale znajdowali się wśród nich również Polacy. Tak poznałem Jennego i jego żonę.

Władze irlandzkie statek, jako nie nadający się do transatlantyckich wojaży, zatrzymały. Do uchodźców po czasie przyjechali kanadyjscy urzędnicy emigracyjni, by ich przesłuchać. Zakwalifikowali wszystkich, ale odrzucili Jennego. Przeszłość tamtych, choć nieraz podejrzana, nie stanowiła przeszkody. Polaka natomiast nie przyjęli, chociaż chronił się przed stalinowską opresją. Wydał się wszechwładnemu urzędnikowi niebezpiecznym socjalistą. Musiał wracać do Szwecji już z synem urodzonym tymczasem w Irlandii, któremu dano na imię Patryk. Jenne po czasie dostał wizę do Wenezueli. Był to jedyny kraj, który mu uchylił drzwi. W Caracas zaczęło się więc nowe dla niego życie, na świat przyszedł drugi syn, Karol. Jenne po różnych próbach otworzył zakład galwanizatorski w

śródmieściu stolicy.

Bawiąc w 1979 roku w Caracas skorzystałem z przerwy między sesjami naukowymi odbywającymi się w gmachu Ministerstwa Oświaty, poszedłem na ozdobionym konnym pomniku oswobodziciela kraju plac Bolivara. Na ten plac wychodziły okna warsztatu Jennego. W ciasnym lokalu na wysokim piętrze stały przyrządy obok słoików i basenów, w których elektroliza przenosiła złoto na zawieszone na przeciwnym biegunie przedmioty, spotkałem powtórnie, po nieomal trzydziestu latach, mężczyznę już o przyprószonych siwizną włosach ale rogiatym nadal duchu. Pod telefonem wiszącym na ścianie stał niewielki stół a na nim stara maszyna do pisania, na której przez wiele lat wystukiwał swoje teksty pomimo odgłosu maszyn, dzwonka telefonu i nachodzenia klientów. Potrafił się skupić, odciąć od świata i robić swoje w najbardziej niesprzyjających okolicznościach. Pozbawiony naturalnego pola do działania, Jenne, człowiek akcji, całą swoją energię przelewał na papier. Zaczął pisać na serio już w Szwecji i szybko utorował sobie drogę do czasopism emigracyjnych jako zadziorny publicysta, poeta i pisarz.

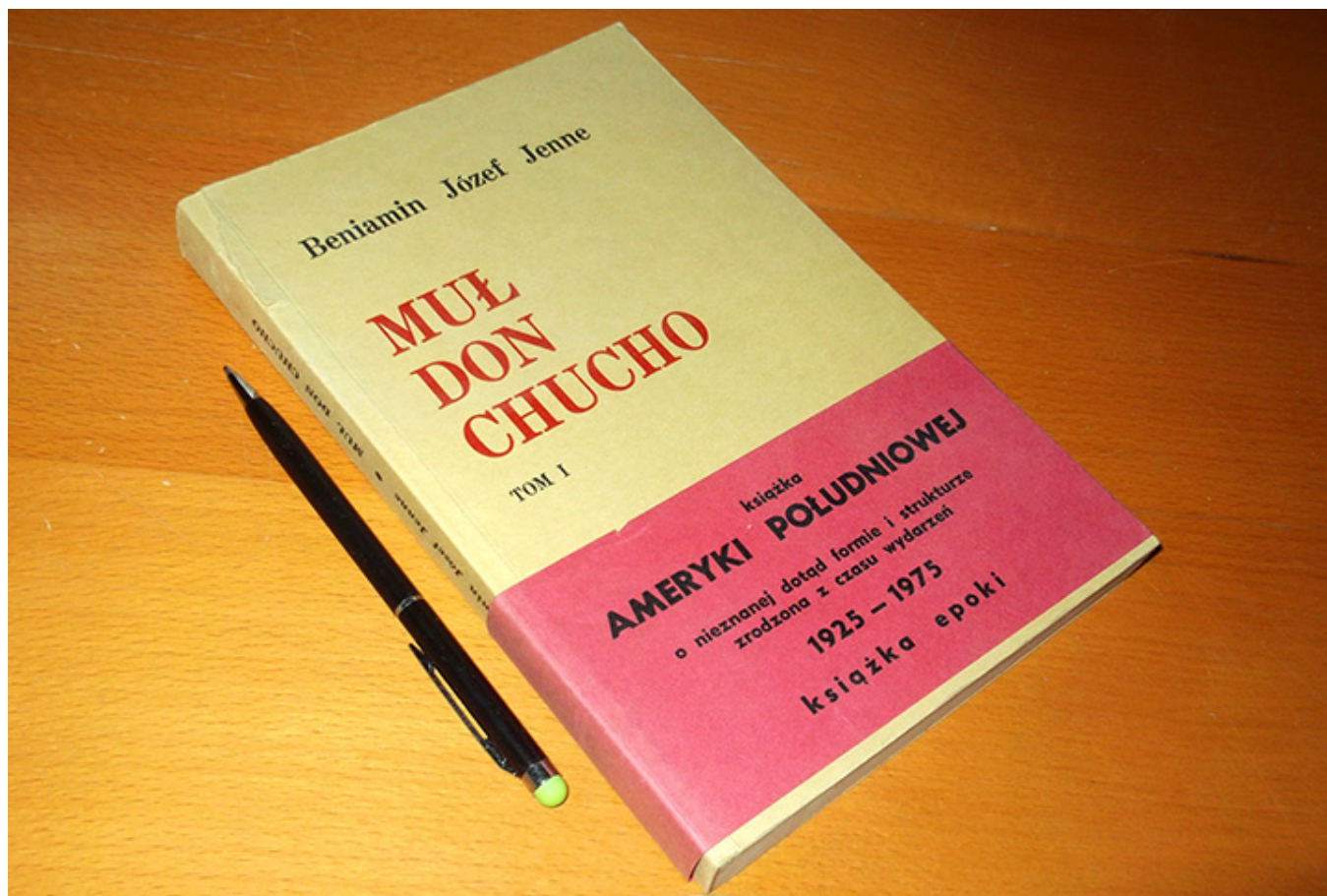
W tomie wierszy „Smagły wiatr ” (1959) uwagę zwraca drukowany także w paryskiej „Kulturze” wiersz krytykujący warunki, w jakich znajdowali się ludzie myślący innymi kategoriami i nie akceptujący wytworzonej sytuacji. Tytuł innego

wiersza „Nie pójdę do Canossy” mówi sam za siebie. Po zbiorze „Czarne poematy z dyliżansu” (1963) wydał prozę „Aspazja, on i ja” (1964), w której ironicznie polemizuje z Witoldem Gombrowiczem i Jerzym Giedroyciem. Do poezji powrócił w „Erotykach” (1970), ale najsilniejszą jego pasją była ideologia.. W 1966 roku opublikował książeczkę „O ideowy profil emigracji” dedykowaną trzynastce młodych pisarzy londyńskiej grupy „Kontynenty” widząc w ich publikacjach zdrowy ferment i próby szukania wyjścia z krępującego partykularza.

Publikując książkę „Materia prima” w 1971 roku rozprawił się z marksizmem odmawiając mu warości naukowych. Jenne uważa się za prekursora takiego widzenia marksizmu, podzielanego obecnie przez wielu specjalistów. Na emigracji książkę przyjęto milczeniem. Jedynie Józef Mackiewicz poświęcił jej obszerny komentarz. Jenne zapowiedział kontynuowanie dyskusji, zgromadził wiele materiałów, celem zastanowienia się nad kierunkiem, jaki winna obrać lewica intelektualna, by wyjść z rozdroży, na których się znalazła. Wśród innych prac przygotował studium o Solżenicynie zgłaszając pod jego adresem szereg zastrzeżeń,

Jenne nie stroni od kontrowersji i uważa, że tylko w ciągłym rewidowaniu naszych pojęć możemy mieć pewność, że kroczymy po właściwej drodze. Jego artykuły polemiczne pojawiały się na łamach „Kultury”, „Wiadomości”, „Kontynentów”,

„Merkuriusza”, „Nowego Znak” i innych emigracyjnych pism. Niemniej wspólnie z nieortodoksyjnymi publicystami po pewnym czasie z nich zniknął. Nieobecność tłumaczył brakiem wolnych trybun dla wypowiedzi innych niż obowiązujące i że brak szerokiego wachlarza poglądów na sprawy publiczne był rezultatem polityki wydawców emigracyjnych. Dlatego, jego zdaniem, ucichło wielu ludzi twórczych. Mogli by się oni znowu pojawić i zaangażować, gdyby powstały nowe, niezależne pisma.



Przez wiele lat Jennego nurtowała myśl, by napisać

monumentalną powieść. Chciał odejść od polskiej tematyki, wojennych przeżyć i martyrologii. Mimo trudności finansowych sprowadzał książki i prasę, by się otoczyć bogactwem źródeł. W godzinach po pracy pisał swoje dzieło. Tak powstał „Muł Don Chucho”. W 1962 roku autor miał już pięćset stron powieści, następne lata spędził na szykowaniu do druku tysiąca stron maszynopisu. Po ukazaniu się fragmentu w tygodniku „Wiadomości” powieść wyszła w roku 1979 w dwu tomach w Polskiej Fundacji Kulturalnej w Londynie finansowana przez autora.

Pragnął on w niej ukazać Wenezuelę, kraj, który go przyjął i pozwolił godnie rodzinie się urządzić. W powieści uchwycił lokalny koloryt egzotycznego kraju, warunki życia, wydarzenia kulturalne w przybranej ojczyźnie. Przede wszystkim jednak stworzył epopeję miasta Caracas. Jenne był świadkiem przemiany miasta z glinianego w żelbetonowo-szklane z wszelkimi tak szybkiego przeobrażenia konsekwencjami. Pokazał w książce panoramę pięćdziesięciu lat, od ostrej dyktatury lat dwudziestych, do zwycięstwa partii demokratycznej w 1973 roku, w której pokładał wielkie nadzieje. W powieści przewijają się politycy, wojskowi, urzędnicy, finansisci, inżynierowie i architekci, kupcy i robotnicy rolni, Indianie i Metysi a także cudzoziemcy, wśród których nie brak Polaków uczestniczących w wielkiej przygodzie przebudowy stolicy i społeczeństwa.

Doskonale wypadła egzotyka Wenezueli, spotkania z bykami, grzechotnikiem, pelikanami, krwiożerczymi rybami, kajmanem czy meduzą. Szczególnie zapisuje się w pamięci mocny epizod spędu bydła i powódź spowodowana wylewem rzeki Apure. Również zmaganie się cywilizacji z barbarzyństwem, temat wielu znamiennych powieści z ubiegłego okresu literatury Ameryki Łacińskiej, znalazły u Jennego interesujący nowy aspekt. Postrzega on podmywanie całego swojego kontynentu przez komunizm. Autor zdaje się być katastrofistą: świat mu się chwieje, Stany Zjednoczone łaje za brak konsekwentnej linii postępowania, Watykan zdaje mu się flirtować niebezpiecznie z Moskwą.

Wiele wątków politycznych rozszyfrujemy bez trudu, inne wymagają klucza, zwłaszcza jeżeli nie zna się Wenezueli. Pobrzmiewa nuta antyinteligencka: profesorom i jajogłowym osobnikom raz po raz się dostaje, nie uchodzi krytyce Picasso czy Penderecki. Antykomunizm autora szkodzi całości stępując efekt, gdyż czasem jego nieokiełznane wybuchy graniczą z absurdem, kiedy np. pomawia dysydentów o agenturalność. Poznańskie wypadki przypisał prowokacji, na której nie poznali się emigranci i Wolna Europa.

Spostrzec łatwo, że szereg jego postaci mówi i myśli tak jak autor, do tego tonem rezonerskim i moralizatorskim. Wprawdzie nie brak Jennemu zacięcia satyrycznego, ale komizmu w jego

książce znajdziemy niewiele. Są natomiast fragmenty wypieszczone, jak choćby bardzo osobiste stronice poświęcone malarzom wenezuelskim, których płótna wiszą w Galerii Narodowej w Caracas. Forma książki, podział na eseje i szkice, nie każdego przekona, bo niektóre eseje wydadzą się zbyt mało organiczne, a nadmiar wątków zaciemnia nurt powieściowy. Za sukces natomiast uważam wielowątkowe rozegranie sceny zabójstwa Juana, gdzie każdy wątek zazębia się o tę scenę i nie tylko wzbogaca incydent, ale także dynamizuje całą akcję.

Gorzkie uwagi kierowane są również do Polaków, kiedy mowa jest o megalomanii małych narodów obnoszących się bez końca ze swoją parą wybitnych ludzi. *Ex post* powie o mizernych rezultatach współpracy Polaków z Zachodem .

W Warszawie będą Rosjanie i sojusznicy skwitują nas orderami i gażami dla kilku generałów. Tak się też wasza zabawa w zachodniość zakończy!

O twórczości polskich pisarzy emigracyjnych sarknie:

Szesnastu emigracyjnych pisarzy pisze szkice o Mickiewiczu, sześciu o Norwidzie, trzech o Krasińskim, jeden o ewakuacji Funduszu Obrony Narodowej i tylko jeden pisze powieść o

jeszcze na razie nieustalonym tytule.

W powieści rodacy wypadli trochę za dobrze. Są malowani i szlachetni. Nawet Wenezuelka, Judyta, wychowana w Warszawie przez siostry urszulanki „wdziek, kulturę i styl obejścia miała panien z kresowych, arystokratycznych dworów polskich”. Zanotowałem ze zrozumieniem przedstawioną rozterkę emigranta, który nie zdołał oderwać się od ojczyzny, a nie stanie się częścią nowej, bo nie potrafi zaakceptować jej odmienności. Autor dopowie, że świat należy do niewrażliwych.

Odniosłem wrażenie, że powieść jest zbyt ambitna, próbująca brylować na zbyt wielu płaszczyznach, co przy pasji autora nie mogło wypaść bez zastrzeżeń. Wszystkiego w niej za dużo, za mało zdyscyplinowania. Oddech ma natomiast szeroki, bo pokusiła się, by dać epicki zapis rozwoju i przeobrażeń dalekiego kraju.

Powieść to niezwykła z zadatkami na bardzo dobrą. „Muł Don Chucho” (czytaj ‘czuczo’) to ogromna bryła kamienia, z której dałoby się wykuć idealniejszy kształt, to niepełne światło, bo przysłonięte skazą.

Wielki wysiłek autora, zarówno twórczy jak i materialny, nie znalazł stosownego uznania. Brak czytelnika na emigracji, a

nieobecność książki w Polsce, stworzyły fatalną sytuację. Do tego autor poważnie zaniemógł. Czyż uratowanie marnującego się w Anglii nakładu nietuzinkowej książki jest rzeczą niemożliwą? Sądzę, że autor odstąpiłby cały zapas osobie czy instytucji, chcącej i potrafiącej książkę przewieźć i rozprowadzić w Polsce. Może ktoś spróbuje?

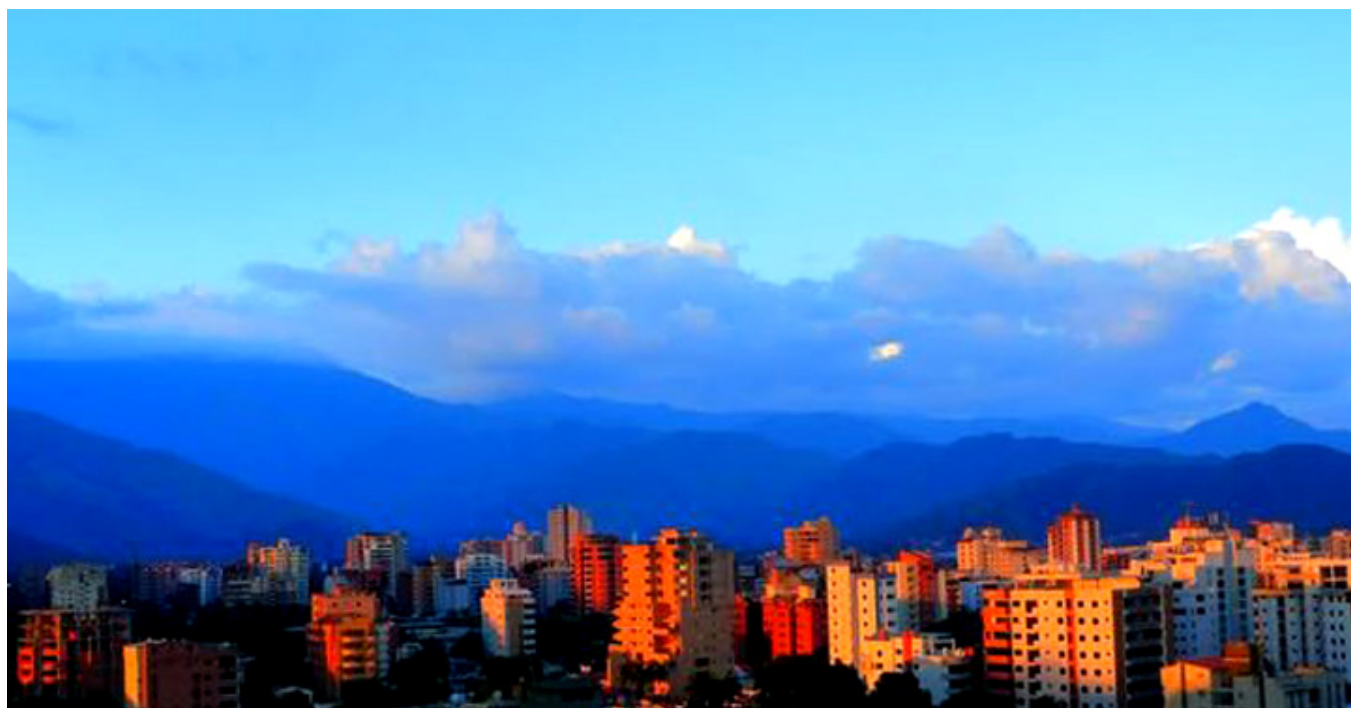
Przemysław

Kazimierz

Chróściechowski –

malakolog i poeta

z Wenezueli



Mracay w Wenezueli, fot. pinterest.

Florian Śmieja

Losy polskich poetów na emigracji każą mi myśleć o wierszach Przemysława Kazimierza Chróściechowskiego, krakowianina urodzonego w 1921 r., który przez Rumunię i Francję trafił ze swoim oddziałem do internowania w Szwajcarii. Tam skończył studia agrarne. Po kilku latach w Anglii emigrował do Wenezueli. Stał się malakologiem i dał się poznać jako specjalista od słodkowodnych ślimaków. Po stażu w Caracas z całą sekcją

przeniesiony został do miasta Maracay. Z początku odczuwał wyjazd na prowincję jako zsyłkę, ale po czasie powie, że już by nie wrócił do stolicy „z jej piekielnym ruchem, zatrutym powietrzem, napadami na ulicach, drożyzną...”.

Tam go odwiedziłem. Po wizycie u Beniamina Józefa Jennego w Caracas, pojechałem z dr Eugeniuszem Gerulewiczem do Maracay. Po drodze od urwisów kupiliśmy świeżo zerwane pachnące mocno mango i dojechaliśmy do ładnego, nowego domku.

Samotnie wychowywał syna, którego urodziła mu Portorykanka, nim padła ofiarą katastrofy. Do pomocy miał kolumbijską służącą imieniem Ligia. Nie pamiętam już wiele z tych odwiedzin, poszliśmy do lasu oglądać orchidee, podziwiać wszędobylskie dydelfy i niebieskie motyle. Fascynowały mnie egzotyczne ssaki z długimi ryjkami, wąskoskrzydłe motyle, orchidee na drzewach i rumiane owoce mango.

Od dziecka czuł zamiłowanie do pisania. Pisząc namiętnie nie znalazł druha, drugiego człowieka, ani spolegliwej redakcji, którzy by wsparli jego wysiłki. Sam stał się superkrytyczny wobec twórczości, a nie przychodziła mu łatwo. Skarżył się:

Niezliczone wieczory spędzone nad rozpaczliwie białą kartką

wzywały nieraz do porzucenia tego głupiego nałogu.

Po nikłych sukcesach wydał w Londynie zbiór wierszy *Nietrwałe srebro snu* w Oficynie Poetów i Malarzy Bednarczyków. Na wieść o zamknięciu drukarni ironizował:

Może za to nieliczne ocalałe egzemplarze osiągną kiedyś bajeczną cenę na bibliofilskim rynku?

Spytany o bieżącą twórczość odpisał, że pisze haiku i ma ich 200 bacząc bardzo na formę. Te sonety, haiku i tanka chciał wydać pod tytułem *Ślady na tropie*. Dodał, że jego pisanie cierpi na znaczne przerwy spowodowane przez zniechęcenie.

W Polsce ukazał się nieznany mi bliżej zbiór jego wierszy *Niecierpliwość dróg* w wydawnictwie Ad Oculos. Jej wydawca o wierszach pisze m.in.:

Utwory te są także świadectwem umiejętności warsztatowych autora: od trenu, poprzez sonet, po akrostych. Uderza też skala podejmowanych tematów, różnorodność nastrojów: z jednej strony poezja filozoficzno-refleksyjna – z drugiej wierszowana publicystyka.

Na list napisany w 2003 roku nie otrzymałem odpowiedzi. Już mnie wprawdzie we wcześniejszym liście ostrzegał:

Jeżeli chirurg mnie dorźnie, to ten list będzie miał wartość dzieła pośmiertnego.



Od lewej: dr E. Gerulewicz, Florian Śmieja i Kazimierz Chróściechowski, fot. arch. Floriana Śmieji.

Kraj Bolívara



Florian Śmieja (pierwszy z lewej) w Caracas.

Florian Śmieja

Wenezuela nie leży na utartym szlaku amatorów turystyki wyprawiających się najchętniej na wyspy Karaibskie, Florydę czy do Meksyku. Ale ten, kto zasmakował w świecie Latynosów,

powinien prędzej czy później puścić się dalej. Czasem będzie to sprawa przypadku. Wybierałem się do Kolumbii do Bogoty, ale wylądowałem w Caracas w Wenezueli.

Z Toronto chciałem lecieć urozmaiconą trasą przez Trinidad, cóż kiedy samolot się spóźnił i w Nowym Jorku trzeba było przesiąść się na samolot linii Viasa. Współpasażowie, Wenezuelczycy, objaśnili wnet, że w ich kraju ustawicznie świeci słońce, dojrzewają pyszne owoce i jest doskonała kawa. (O tym ostatnim miałem się wnet potem przekonać, bo tę kawę podawano w różnych postaciach, najczęściej słodką i piło się ją przez słomkę). Jabłka natomiast kosztowały fortunę, ale zrezygnowanie z nich na rzecz konsumowania fioletowo-czerwonego mango, czy najróżniejszych odmian bananów, nie martwiło nikogo.

Viasa ma staroświeckie zwyczaje podawania pasażerom jadłospisu w języku angielskim i hiszpańskim. Wiele lat wcześniej na London School of Economics moim studentem był syn właściciela Viasy. Kto wie, gdybym był utrzymał z nim kontakt, to może poleciałbym pierwszą klasą? Lot był spokojny, przed samym celem trochę nas pociągało.

Lotnisko leżało nad samym morzem. Taksówkarz gnał jak szalony mamrocząc w niezrozumiałym dialekcie. W porównaniu z jego jazdą huśtanie samolotu było fraszką. Mijał z prawej strony, wjeżdżał na chodnik, ale ponieważ żaden instrument w jego

samochodzie nie był oświetlony, nie mógłbym w razie czego przysiąc, że jechał nieregularnie. Na szczęście miał hamulce.

Z mroku wyłaniało się Caracas, miasto zamknięte w dolinie górskiej, duszące się, oddychające wąską krtanią splątanych dróg i wiaduktów z ruchem drogowym, który przyprawiał o nerwicę. Całe nasze zjazdowe towarzystwo zostało zakwaterowane na piętnastym piętrze hotelu Hilton. Dzieliłem apartament z sędziwym profesorem z uniwersytetu Yale, Kubańczykiem z pochodzenia, z teatrologiem z Buenos Aires, z dyrektorem teatru w Limie oraz z profesorem meksykańskim. O spaniu nie było mowy, Latynosi nie uznają wczesnego chodzenia do łóżka. Mój towarzysz z Limy pogubił różne drobiazgi, więc pożyczył ode mnie grzebień: trudno było wejść w bardziej intymną komitywę.

Podczas obrad poświęconych historii teatru Ameryki Łacińskiej, a odbywającym się w gmachu Ministerstwa Oświaty, powstał na ulicy tumult. To młodzież licealna przyszła domagać się dofinansowania ich szkół. Kiedy wybuchła petarda jako zaczepka czy też prowokacja, policja ruszyła do akcji. Postrzelała w powietrze, rzuciła gaz łzawiący, a dobywszy pałek zaczęła łąć studenterię. Wnet stała się panem pobojuwiska zasłanego transparentami, plakatami i częściami garderoby. Lokalni teatrologowie skomentowali zajście jako stały teatr życia. Myślę teraz, że kto z bliska nie oglądał i nie przeżył dramatu

latynowskich stosunków politycznych i społecznych, będzie miał bardzo niekompletne wyobrażenie o rzeczywistości Ameryki Łacińskiej.

Wspomniałem wielki ruch w Caracas, a równocześnie ciasnotę. Otóż w niedziele autostradę, która prowadzi przez środek miasta zamyka się dla ruchu kołowego i wtedy ludność wylega na deptak, a dzieci mają szczególną uciechę. Wenezuela ma bogate złoża ropy, dlatego benzyna jest tania i stąd zatrzesienie samochodów, choć są one kosztowne. Wszystko zresztą oprócz owoców i napojów jest drogie w Wenezueli. Trudno jest zrozumieć, jak przy takiej drożyznie ludzie ubodzy potrafią się wyżywić, ubrać i mieszkać. Sprawę komplikuje przeludnienie Caracas. Tysiące nędzarzy z całego kraju pobudowało sobie na okalających stolicę pagórkach tzw. ranchitos, budy sklecone z byle czego i mieszkają w okropnych warunkach zdrowotnych. Żyjąc z czego się da, mieszkańcy tych slumsów nękać ludność stolicy napadami i kradzieżami, czego i nasza grupa doświadczyła.

W Caracas trzeba zobaczyć panteon na wzgórzu, w którym spoczywa Simón Bolívar, bohater wyzwolenia Ameryki Łacińskiej. Czterech żołnierzy, Metysów w oliwkowych mundurach z amarantowymi wypustkami trzymało straż pod karabinami. Po zmianie warty ci czekoladowi wojacy w białych rękawiczkach i białych pasach płynęli wzdłuż nawy świątyni z

lekkością tancerzy i ludzi tropików, jakby te zgrabne ruchy najwierniej składały hołd człowiekowi, który otworzył im drogę do współgospodarowania piękną, bogatą ziemią, nazwaną przez naiwnych odkrywców, Małą Wenecją.

Orchidea jest narodowym kwiatem Wenezueli, która chlubi się kilkudziesięcioma odmianami tego kwiatu i wiele ich rośnie dziko w puszczach. Jej flora jest przebogata, nie mogłem się napatrzyć urodzie różnorodnych krzewów uginających się pod ciężarem wielobarwnych, wonnych kwiatów, od których odrywały się chmary gibkich, wąskoskrzydłych motyli, czarnych pod spodem, a z czerwonymi lub cynobrowymi plamkami z wierzchu. Tropikalny gąszcz, o który zawadziłem w górach za Maracay dyszał życiem, szumem wody, kumkaniem żab, szczekaniem ropuch, muzyką cykad i ptaków oraz myszkowaniem dydelfów, ssaków wielkości kota z pyska i ogona podobnych do pancernika. Na skwerze w śródmieściu Caracas zobaczyłem trójpalcowego leniwca schodzącego z palm, jak ociężały elektryk ze słupa, który potem czołgał się do następnego drzewa.

Wielu Wenezuelczyków dla osobistego bezpieczeństwa nosi broń. Kobiety tamtejsze są zgrabne, śliczne, o wszystkich odcieniach cery, umalowane są dyskretnie i bogato ozłoczone. Cechuje je elegancja. Nie rezygnują z niej nawet, kiedy ubierają dzinsy, które ozdabiają koronkami. Wydały mi się przesympatyczne, godne i wyrozumiałe. Często wyzyskiwane i dyskryminowane

posiadają wiele słodczy, dobroci i uroku egzotyki.

Od Łupi do Parany i Amazonki. Część III.

Ameryka Łacińska, Hiszpania i Portugalia oczami polskiego iberysty

Dziennik z podróży ukazuje się w drugi czwartek miesiąca

Zygmunt Wojski

Wenezuela-Trinidad-Wenezuela



Rzeka Apure

Trwał okres suszy (od października do kwietnia) i soczysta, jakże bujna przedtem zieleń stała się przywiedła, zakurzona, zupełnie nie ta sama, co w porze deszczowej. Z drzew opadały masowo wielkie czerwone, żółte i fioletowe kielichy kwiatów, krajobraz stawał się coraz bardziej smętny. Mimo to, pod koniec stycznia 1973 r. postanowiliśmy skorzystać z zaproszenia mojego kolegi z Instytutu Pedagogicznego, prof. Edgara Colmenaresa (wykładał literaturę latynoamerykańską) i pojechać do leżącej nad rzeką Apure, tuż przy jej ujściu do Orinoko, hacjendy *Los Indios* (Indianie). Jej właścicielem był stryj Edgara, Virgilio Colmenares, któremu pomagał w pracy na hacjendzie także ojciec Edgara, Manuel. 19 stycznia wieczorem ruszyliśmy z Caracas na południe

dżipem, który prowadził wesoły Manolito, młodszy brat Edgara. Jechała z nami też pewna starsza pani z małym chłopcem.



Babo

Wkrótce zapadła ciepła tropikalna noc, a my, pod jej gęstą osłoną, przecinaliśmy bezkresne równiny *Guárico*...W pewnym momencie ujrzeliśmy przed nami młodego węża boa (w Wenezueli nazywane są *tragavenados*, co oznacza “połykacze saren”), gdy sunął w poprzek szosy. Manolito zwołał na moją prośbę, by go nie rozjechać i abyśmy mogli przyjrzeć się jego pięknej skórze. Za San Fernando skręciliśmy w lewo i bardzo wyboistą, pełną kurzu drogą wiodącą prawym brzegiem rzeki Apure dotarliśmy do maleńkiej wioski Arichuna. Tam, u znajomych Manolita, usiłowaliśmy pospać parę godzin po długiej podróży. O ile pamiętam, spaliśmy pokotem, w jakimś ciasnym pokoiku. Ledwie zaświtało, wsiedliśmy na mały stateczek, który popłynął w dół rzeki Apure. Ta podróż trwała jeszcze jakieś

cztery godziny, jeśli nie więcej. Kapitan stateczku musiał umiejętnie manewrować, by nie wjechać na mieliznę, o co było bardzo łatwo, zważywszy na niezmiernie niski stan wody w rzece. Przy brzegach wylegiwały się **babos** (*Caiman sclerops*), owi mniej agresywni kuzyni kajmanów, a nad nami przelatowały co jakiś czas stada białych czapli.

Zwrócił moją uwagę mocno podejrzany wygląd wody w rzece, istne kakao, płynna czekolada i to pełna wszelkiego śmiecia. Gdy zde gustowany mówiłem o tym głośno, Manolito zawołał rozbawiony: „Będiesz ją pił!” Na co ja: „Czegoś takiego na pewno nie wezmę do ust”. Niestety, okazać się miało, że to Manolito miał rację... Mimo wczesnej pory słońce piekło już niebywale. Odczuwało się to nawet na wodzie, gdy płynęliśmy. Nasz stateczek przybił wreszcie do prawego brzegu Apure i wysiedliśmy. W oczekiwaniu na łódź, która miała przewieźć nas na przeciwległy, lewy brzeg rzeki, odbyliśmy krótki spacer po okolicy. Obok wysokich drzew w niewielkim, wysychającym jeziorze, aż się roiło od maleńkich, świeżo wyklutych *babos*. Gdy tylko zbliżaliśmy się do brzegów jeziora, ich groźnie wyglądająca mama wynurzała się gwałtownie z wody skacząc w naszą stronę. Mimo to, Manolito schwycił jedno z tych maleństw, by nam je z bliska pokazać. Choć niewiele dłuższe od dłoni, już próbowało kąsać. Przyznam, że nie odważyłem się wziąć go do ręki. Stchórzyłem szpetnie. Natomiast Rosario okazała się odważniejsza i owszem, pottrzymała je przez chwilę.

Potem poszliśmy na wysoki brzeg Apure, skąd Manolito skoczył do wody. Ja także chętnie bym się wykąpał, bo żar lał się z nieba, ale wiedząc, że w rzece nie tylko pełno piranii (*Serrasalmo Nattereri*), ale i płaszczyk z kolczastym ogonem (*Potamotrygon hystrix*), elektryzujących węgorzy (*Electrophorus electricus*) i Bóg wie, czego jeszcze, wolałem nie ryzykować. Gdy Manolito wyszedł z wody, postanowił pokazać nam piranię. W tym celu zarzucił żyłkę z haczykiem i nadzianym nań kawałkiem kiełbasy i w istocie wyłowił żółto-czerwoną niedużą płaską rybę, która błyskawicznie podskoczyła do góry i wygryzła mu całkiem głęboki dołek w opuszcze palca (sic!). Krew broczyła obficie, ale Manolito zgoła nie przejął się tym incydentem.



Rzeka Apure

Wreszcie przypłynęła oczekiwana łódź. Cofnęliśmy się nieco w górę rzeki wymijając mielizny i wkrótce wyszliśmy na wysoki brzeg Apure. Przy małym domku z tarasem powitało nas dwóch panów w średnim wieku: krępy, dość tęgi właściciel hacjendy, Don Virgilio Colmenares i wysoki, szczupły jego brat, ojciec Edgara i Manolita. Była tam jeszcze mała córeczka właściciela, krucha niezwykle blondyneczka, no i pracujący ze stadami bydlą na sawannie kowboje, którzy pojawili się dopiero w nocy. Mieliśmy spać w małym pokoiku, na drewnianych pryczach, ale zaduch był tak straszny, że mimo chmar komarów kęsających bezlitośnie przynajmniej do trzeciej nad ranem, wolałem spać na wielkiej krowiej skórze na tarasie. Rosari zaś z dwojga złego wolała duszny pokój z mniejszą ilością komarów. Gdy tak sobie spałem w pierwszą noc na tym tarasie, jeszcze przed wschodem słońca (było szaro) usłyszałem nad sobą jakieś głosy. Stało nade mną dwóch kowbojów i jeden mówił do drugiego: „Patrz, to ten *musiú* (cudzoziemiec), co przyjechał wczoraj z żoną z Caracas”. Dla tych ludzi kompletnie odizolowanych od świata przyjazd kogoś z zewnątrz, a tym bardziej cudzoziemca, był takim wydarzeniem, jak nie przymierzając, nagłe pojawienie się Marsjan w środku wielkiego miasta.

Rozlewisko na Równinach

Nie tylko noce były uciążliwe. Oczywiście, nie było tam żadnej studni ani toalety. Byliśmy skazani na picie wody z rzeki i mycie się w następujący sposób: czerpało się wodę z rzeki przy pomocy dużej *totumy*, czyli połówki wydrążonej tykwy *Crescentia Cujete*, bacząc, czy przypadkiem nie pływa w tej wodzie jakaś pirania czy płaszczka i tak zaczerpniętą wodą polewało się głowę, plecy. Oczywiście, ta „kąpie

l” miała miejsce tuż nad rzeką. Pozostałe czynności, fizjologiczne także. Nie dziwota, że z trudem wytrzymaliśmy w tych warunkach trzy dni, w ciągu których nagrywałem rozmowy głównie z właścicielem hacjendy, ale także z innymi jej pracownikami. Najciekawsze były *coplas de ordeño*, czyli “kuplety przy dojeniu”, oryginalne, improwizowane przez właściciela, zgodnie z powszechnym na wenezuelskich równinach zwyczajem. Chodzi o to, by krowa stała spokojnie i dała się wydoić. Zaczyna się od jej imienia, od wywołania jej ze stada przeciągłym głosem. W tym samym czasie wychodzi też z kojca dla cielaków jej cielę i zaczyna ssać. Po chwili przywiązuje się je do przednich nóg matki i można już doić, ale nie przestając śpiewać. Są to rozmaite opowieści i na końcu każdej zwrotki pojawia się imię krowy. Jedna z krów nazywała się „Loteria”, więc Don Virgilio śpiewał jej na przykład: „Dziewczę kocha mnie

na serio, moja ty Loterio”.

Okolica nie była zbyt ciekawa, głównie ze względu na panującą straszną suszę. Ziemia była spękana, nieliczne bajorka z kłębiącymi się w nich rybami, wysychały niemal w oczach. Było też w nich mnóstwo martwych ryb. 23 stycznia odpłynęliśmy w drogę powrotną do Arichuny, korzystając z okazji, że pan Wergiliusz wybierał się tam po zakupy. W Arichunie musieliśmy już radzić sobie sami. Zatrzymaliśmy więc jakąś ciężarówkę i usiedliśmy obok kierowcy. Przez otwarte okna wdzierały się całe chmury kurzu i gdy po kilku godzinach takiej jazdy dotarliśmy wreszcie do San Fernando, wyglądaliśmy jak młynarz i młynarka po przepracowanym całym dniu w młynie! Z jakąż radością usiedliśmy na normalnych krzesłach i przy normalnym, czystym stoliku w najbliższym barze, gdzie zamówiliśmy po kilka szklanek zimnego soku! Wydało nam się wtedy, że jesteśmy w autentycznym raju. Po powrocie do Caracas jeszcze przez dwa dni piliśmy duszkiem wodę i soki, tak bardzo byliśmy odwodnieni... To był ostatni i najtrudniejszy do zniesienia pobyt na Wielkich Równinach.

Tymczasem zbliżał się czas karnawału i już pod koniec, a dokładnie 1 marca, wybraliśmy się nocnym autobusem do słynnego z obchodów karnawałowych miasta Carúpano, 545 km na wschód od Caracas. Podczas długotrwałej nocnej jazdy zasnąłem jak kamień. Nagle słyszę jakieś śmiechy, widzę

zapalone światło i policjanta w przednich drzwiach. Jak się okazuje, wszyscy mężczyźni stoją już na zewnątrz, a ja spałem tak mocno, że w ogóle niczego nie słyszałem. Rosario, zdaje się, też była z lekka nieprzytomna. Zdenerwowała mnie ta sytuacja i spytałem, po co niby mam wychodzić i co to za traktowanie ludzi, jakim prawem mnie budzą na jakimś pustkowiu w środku nocy i tak dalej. Jeszcze dodałem zgodnie z prawdą, że jestem gościem prezydenta i złożę na nich skargę. Jednak zmusili mnie do wyjścia. Ustawili wszystkich facetów przy autobusie, z podniesionymi do góry i opartymi o autobus rękami i zaczęli rewidować w poszukiwaniu broni, a wszystkie panie siedziały sobie w tym czasie spokojnie wewnątrz. Gdy wróciliśmy na swoje miejsca, ten sam policjant wsunął jeszcze swą smagłą głowę do środka i rzucił ku mnie: „ A następnym razem niech mi się pan nie stawia!”



Karnawał na Trynidadzie

W Carúpano dzikie, opętańcze tłumy, hałas, zgiełk i ani jednego wolnego miejsca w hotelach! Cała Wenezuela tu przyjechała! Postanawiamy więc jechać zbiorową taksówką do odległego o jakieś 25 km na wschód Río Caribe (ktoś nam podsunął, że tam będzie łatwiej o nocleg). Nie wiem, jak długo odpoczywaliśmy w bardzo skromnym i chyba jedynym w tym miasteczku hotelu. W każdym razie w upalne popołudnie wybraliśmy się na dziką plażę, może kilometr na zachód od centrum miasteczka. Chcieliśmy być sami i zażywać kąpieli tak morskiej jak i

słonecznej w strojach naturalnych i zapewniam, że wówczas nad wyraz estetycznych. Poza tym plaża miejska była dość brudna, a ta dzika wprost idealnie czysta, piękny, biały piasek. Mnie to w zupełności wystarczało, aliści Rosario zwróciła uwagę na niewielkie okrągłe żółto-zielone owoce, przypominające swym wyglądem niedojrzałe mirabelki. Pełno ich było na zwisających nisko nad plażą gałęziach drzew. Oczywiście, nie omieszkała zerwać kilka i – jakżeby inaczej – spróbować!

I powtarza się, proszę Państwa, wypisz wymaluj, scena z raju. Leżę sobie w najlepsze na tym bielutkim piasku, gdy podchodzi Rosario i mówi: “Znakomite owoce! Wspaniałe! Spróbuj!” Tu podaje mi jeden, a sama kończy już jeść ten swój. Ja bardzo nieufny: “Dziewczyno, dlaczego jesz nieznane Ci owoce? Przecież mogą być trujące”. Ona: “Ależ skąd! Naprawdę są pyszne, spróbuj tylko!”. Spróbowałem, ale tylko odrobinę. Były słodkie, ale jednocześnie jakieś podejrzenie cierpkie. Jeszcze parę minut leżymy na plaży i nagle Rosario: “Kochany! Coś okropnego dzieje się ze mną. Strasznie mnie pali w żołądku!”. Jeszcze chwila i ja czuję to samo. Zrywamy się i biegniemy ku pobliskiej strażnicy ochrony pogranicza, gdzie wartownik informuje nas, że zjedliśmy manzanillo (*Hippomane Mancinella*), niezwykle trujący owoc i musimy czym prędzej zgłosić się do szpitala.

Wieść rozchodzi się lotem błyskawicy. Po chwili, w pewnej odległości za nami, formuje się cały pochód dzieci i młodzieży.

Coraz ich więcej. My z przodu, z otwartymi paszczami ziejącymi ogniem, a oni za nami i niemal skandują: “Oni zjedli *manzanillo*, oni zjedli *manzanillo* !!!” Na rogu głównej ulicy stoi jakaś taksówka. Jedziemy nią do szpitala. Mnie pomogła wypita szklanka oliwy, ale jej nie, wszak zjadła **całe** *manzanillo*. Leży pod kroplówką ponad 3 godziny i co jakiś czas woła mnie i z płaczem mówi, że chyba koniec! Przeżyłem straszne momenty grozy. Za oknami, na zewnątrz sarnie oczy ciemnoskórych pielęgniarek, z ciekawością wypatrujące, kiedy ten koniec nadejdzie. Na szczęście, nie doczekały się. Powoli, bardzo powoli Rosario wraca do siebie. A miasteczko całe zmobilizowane. Zjawili się w szpitalu także właściciel hotelu i taksówkarz, który wiozł nas z Carúpano. Obaj bardzo się przejęli dowiedziawszy się, że „tych dwoje Amerykanów mówiących po hiszpańsku” zjadło *manzanillo* i pewno niewiele już im zostało na tym świecie...



Niezwykłe trujące owoce manzanillo
(*Hippomane mancinella*)

Nazajutrz czujemy się wybornie, jakby nic się nie stało. Przypomniałem sobie karnawał na pobliskiej Wyspie Trynidad, z takim entuzjazmem opisany przez Olgierda Budrewicza. Jedźmy więc na Trynidad! Telefonuję do portu Güiria, skąd odpływają

statki na tę wyspę i oto, co słyszę w słuchawce: “Ostatni statek już wypłynął, ale mogą Państwo popłynąć nielegalnie, wynajmując prywatnie łódź motorową”. Decyzja szybka i już wychodzimy na szosę, zatrzymujemy jakiś džip. Jadą nim dwaj chłopcy właśnie do Güiria, gdzie mają odwiedzić brata, właściciela sklepu. Twierdzą, że on zna tam wszystkich i z wynajęciem łodzi nie będzie kłopotów, a i oni chętnie popłyną na Trynidad, by zobaczyć ten wspaniały karnawał. Znakomicie!

Po dłuższym oczekiwaniu w sklepie dowiadujemy się, że łódź załatwiona, ale musimy czekać, aż zapanuje na dobre noc, bo wyjazd z portu ma być „nielegalny”. Towarzystwo na łodzi doborowe: jej właściciel, prymitywny i nieprzyjemny osobnik, trzech bracia (właściciel sklepu także płynie), ciemnoskóra pulchna i puciołowata córa Koryntu licząca na karnawałową klientelę, jeszcze czterech młodych chłopców i jeden starszy Murzyn, kumpel właściciela, para młodych Amerykanów i nas dwoje. Razem czternaście osób. Wyposażona w dwa motory łódź ma niecałe 10 metrów długości. Zupełnie nieświadomi tego, co nas czeka, Rosario i ja siadamy na samym dziobie. Ledwie wypłynęliśmy poza falochron, na wody Zatoki Paria, łódź zaczyna skakać na wysokich falach i w obawie, by nie wypaść za burtę, czym prędzej siadamy na jej dnie.



Akacja tropikalna (Framboyán) na Trynidadzie

Rozmawiamy trochę z Amerykanami. Okazuje się, że babcia młodej Amerykanki pochodzi z Przemyśla. Mrok zupełny. Chłodno. Śpiewamy różne piosenki, w tym polskie. Tymczasem właściciel łodzi i córka Koryntu, nakryci kocem, nie próżnują. Śpiewamy im do taktu „Kręć się, kręć wrzeciono...”. Mamy do przebycia około 100 km w linii prostej do stolicy Trynidadu, Port of Spain. Końcowy odcinek to cieśnina między wenezuelskim Półwyspem Paria a Przylądkiem Corozał na Trynidadzie, nazwana przez Kolumba *Bocas de Dragón*, czyli Paszcza Smoka. Mamy szczęście, bo zwykle niesamowicie wzburzone tutaj morze o tej porannej porze jest wyjątkowo spokojne. Dopływamy do portu około godziny siódmej rano, a więc podróż trwała 6 godzin.

Przy nabrzeżu ogromny statek pasażerski *Stella Maris*. Mają nim popłynąć na występy do Wenezueli miejscowi muzycy. Tymczasem grają na słynnych bakach po benzynie (te zespoły zwą się *steel bands*) i podłużnych białych rurach z falistej blachy – pocierając patykiem o ich nierówną powierzchnię. Rytm radosny, cudowny! Zaczynam wywijać w pożyczonym od kogoś z nich brązowym kapeluszu... To lubię i to bardzo!



Steel band

Choć przypłynęliśmy „nielegalnie”, musimy się zaszczepić przeciwko ospie. Kumpel właściciela łodzi radzi wycisnąć natychmiast ten płyn, by uniknąć gorączki i innych przykrych sensacji. Obok punktu szczepień jest telefon i książka telefoniczna. Telefonuję do pani Magdaleny Kurpielowej, kuzynki Kaliny Wojciechowskiej. Poznałem ją kiedyś w Warszawie. Ona: „No, bardzo miło! Zaraz pojedziemy z mężem po Państwa, ale proszę mi powiedzieć, jak się nazywa statek, którym Państwo przypłynęli?” Ja: „Proszę Pani, toż to łupina orzecha i nie ma żadnej nazwy!” Umawiamy się więc na zewnątrz, przy urzędzie celnym. Jeden z tych dwóch chłopców, którzy wieźli nas dżipem,

zostawia nam telefon i ustalamy wstępnie, że powrót nastąpi za trzy dni. Jako turyści „nielegalni”, nie mamy innej opcji: musimy wracać w ten sam sposób.

Za godzinę mniej więcej przyjeżdżają Państwo Kurpielowie i zabierają nas do siebie. Mieszkają w odległej o jakieś 5 km od centrum Port of Spain uniwersyteckiej dzielnicy St. Augustine. Spędzimy tam trzy dni i trzy noce. W domu wita nas głośnym ujadaniem wilczur Brutus. Jest pięknie! Dookoła cudowne tropikalne drzewa i krzewy. Pan Kurpiel co kawałek serwuje znakomite drinki. Chyba zaraz po śniadaniu i krótkim odpoczynku wiozą nas na najpiękniejszą plażę, jaką widziałem w życiu: Las Cuevas Beach. Znajduje się na północnym wybrzeżu wyspy, obok dwóch innych, równie pięknych: Maracas i Blanchisseuse. Tworzy ogromną, piaszczystą podkowę z pokrytymi dżunglą wysokimi górami w tle, a bliżej, doliny wypełnione gajami palm kokosowych. Jakże bujna, soczysta zieleń! Błękitna woda w morzu wprost krystalicznie czysta. Kąpiel jest niebywałą rozkoszą. A jeszcze wieniec skał pośrodku morza tworzący rodzaj jaskiń bez sklepienia, skąd nazwa Las Cuevas Beach, czyli Plaża Jaskiniowa. Można tam wpłynąć do środka, niby do wielkiego naturalnego basenu o ścianach skalnych porośniętych dziką malangą (*Colocasia antiquorum*) o olbrzymich sercowatych mięsistych liściach, ocumo (*Xanthosoma sagittifolium*), którego liście też wielkie i mięsiste, ale podłużne, wielkimi paprociami, bujną trawą.

Czyż można sobie wyobrazić bardziej rajska scenerię? Spacer wzdłuż plaży, cóż to za przyjemność! W te ostre szczyty pokryte skłębioną roślinnością i otoczone jakąś błękitną mgiełką można się wpatrywać bez końca! I jakże czysto, jaki błogi spokój w porównaniu z plażami wenezuelskimi! Byliśmy tam chyba dwa razy i w drodze powrotnej mijaliśmy leżącą parę kilometrów na wschód plażę Blanchisseuse, widoczną między pniami palm kokosowych. Grzywiaste bałwany fal, a za nimi przepiękny szmaragd przejrzystej wody! Oczy aż się rwały do tego widoku! No, ale wszędzie nie mogliśmy być...



Plaża Las Cuevas

Głównym naszym celem było obejrzenie karnawału na ulicach Port of Spain, dokąd jeździliśmy z St. Augustine zbiorowymi taksówkami w towarzystwie tubylców, czyli głównie Murzynów, czemu pani Nena Kurpielowa nie mogła się nadziwić, no bo „jak można narażać żonę na takie towarzystwo!”. Kiedyś widzieliśmy po drodze pogrzeb i ku naszemu zdumieniu wszyscy ciemnoskórzy żałobnicy byli w śnieżnobiałych strojach, a panie z parasolkami od słońca. W niezbyt ciekawym architektonicznie centrum miasta odbywały się barwne niezwykle pochody karnawałowe. Stroje przebogie, błyszczące, wielokolorowe, z ogromną ilością różnobarwnych piór, całe ich fragmenty z

połyskliwej srebrzystej cienkiej blachy, srebrnego i złotego papieru, lusterek, wszelkiego rodzaju błyskotek i świecidełek wyobrażają jakieś wielobarwne ogromne kwiaty, motyle, fantastyczne ptaki, ryby, smoki i nie wiem, co jeszcze... Każda osoba tak przebrana ledwie jest widoczna w powodzi ozdób, co sprawia wrażenie, że taki kwiat czy motyl poruszają się niemal samoistnie. To swoisty pokaz nie tyle strojów, co fantastycznych zgoła całych dekoracji.



Diabeł z Yare



Dziecięcy karnawał. Trynidad

Tańczący tłum niezwykle elastycznie, isticie wężowo porusza się w rytm stalowych bębnow, na których grają wyżej wspomniane *steel bands*, gęsto otaczając kilkusobowe grupy muzyków. Bębny umocowane są na wielkich wózkach z żelaznych prętów. Nad wózkami płóciennne daszki od słońca. Każdy z perkusistów obsługuje dwa lub trzy bębny, uderzając w nie gumowymi młoteczkami. Powierzchnia tych bębnow podzielona jest na kilka trójkątnych części i z każdej z nich wydobywa się inny, ale zawsze dość wysoki ton, w niczym nie przypominający odgłosu

bębna. Podobno na tych stalowych bębnach można znakomicie grać utwory Mozarta, na przykład. Ludzie w tańcu popijają rum, bo prawie każdy tańczy z butelką rumu w ręce.



Mighty Sparrow

W upalne popołudnie na wielkim placu na obrzeżach centrum, zwanym Queen's Park of Savannah, czyli Park Królowej na Sawannie, oglądamy występy solistów śpiewających typowe dla tej wyspy pogodne calypso i marsze karnawałowe. Sądząc po reakcji publiczności, która co chwila wybucha salwami śmiechu, ich słowa muszą być nadzwyczaj zabawne. Co roku organizowany jest konkurs na najlepszy marsz karnawałowy. Tym razem zwycięża *School days, very happy days!* („Szkolne dni, jakże szczęśliwe dni!”) w wykonaniu pana o pseudonimie artystycznym Sparrow Spectacular (Nadzwyczajny Wróbel).

Dzisiaj widzę, że później zaczął być znany jako Mighty (Wielki) Sparrow. Urodził się w 1935 roku na Wyspie Grenadzie i w latach 70 i 80 uchodził za najlepszego wykonawcę calypso. Publiczność zachowuje się jak na pikniku: każdy je kurczaka lub jakąś kanapkę, najczęściej obficie polaną zielono-żółtym, bardzo aromatycznym i pewno pikantnym sosem i coś popija, mnóstwo rozwrzeszczanych lub płaczących dzieci... Ciekawe, że choć procent zamieszkujących wyspę Hindusów jest dość wysoki (300 tysięcy w owym czasie, na niewiele ponad milion mieszkańców w ogóle), nie widać ich zupełnie podczas karnawału. Chyba nie uważają tego święta za swoje. Tu króluje ludność pochodzenia afrykańskiego.

Ostatniego popołudnia na Trynidadzie pani Nena prosi swego znajomego, bardzo uprzejmego pana Ackelsberga, by zechciał nam towarzyszyć wieczorem. Wiezie nas do Country Clubu, elitarnego miejsca rozrywki dla białej, bogatej mniejszości i głównie amerykańskich turystów. Jest to elegancki biały pałacyk z dużym basenem i pięknym, zadbanym parkiem naokoło. Tu biała młodzież próbuje tańczyć przy akompaniamencie karnawałowych rytmów. Ale gdzież im do kolorowych, ulicznych tancerzy! Ich ruchy są niezdarne, tępe, jakby byli wyciosani z drewna, istne Pinokia w tańcu! A pan Ackelsberg z pewnością chciał nam zrobić największą przyjemność!



Karnawał na Trynidadzie



Karnawał na Trynidadzie

Gdy zgodnie z umową czwartego dnia przed południem pojawiliśmy się w porcie, pasażerowie naszej łodzi czekali w komplecie, z wyjątkiem pary amerykańskiej, która nie wracała z nami do Wenezueli. Wszyscy mieli jakieś dziwnie zblazowane, wyczekujące miny. Na pytanie, kiedy odpływamy, właściciel rzucił od niechcienia: „Nie mamy pieniędzy na benzynę. Jeśli pożyczysz tyle, a tyle (była to niebagatelna suma), kupimy benzynę i popłyniemy”. Dobrze wiedział, że zależy nam na szybkim powrocie do pracy i liczył na dodatkowy zarobek. Nie było wyjścia. Oczywiście, nigdy nie zobaczyłem tych pieniędzy...

Ruszyliśmy około południa. Było szaro i pochmurno, a morze paskudnie rozfalowane. Byliśmy już dość daleko od Port of Spain, gdy zepsuł się jeden z dwóch motorów. Na łodzi wybuchła panika. Zaczęli się między sobą kłócić. Jeden obwinił drugiego, że nie umie sterować, a najgłośniej wrzeszczała córa Koryntu.

Łódź dryfowała po niezwykle wzburzonym morzu zmierzając wprost ku skałom całkiem wyraźnie już widocznym na wenezuelskim brzegu i spadały na nią ogromne zielone góry wody. Rosario i ja siedzieliśmy fioleci z strachu, dygocząc i nic nie mówiąc. Byliśmy przekonani, że to koniec! Gdy ujrzeliśmy tuż przy łodzi wielką płetwę grzbietową wynurzającego się z wody rekina, nie mieliśmy już wątpliwości. Trwało to w nieskończoność. Na szczęście, morze uspokoiło się nieco i fale nie były już tak wielkie. Widać, byliśmy już poza właściwą Paszczą Smoka. Stał się cud: gdyby nie fakt, że ni stąd ni zowąd nastąpił spokój na morzu, niechybnie roztrzaskalibyśmy się o skały albo wcześniej jeszcze łódź wywróciłaby się i byłibyśmy smaczną kolacją dla rekinów.

Tak oto przeżyłem kolejno dwie najbardziej niebezpieczne przygody w moim całym dotychczasowym życiu. Najpierw zjedliśmy osławione *manzanillo*, a po kilku zaledwie dniach niewiele brakowało, a zjadłyby nas rekiny. Przyznam, że ta druga przygoda była dla mnie, mimo wszystko, straszniejsza, znacznie bliżej widziałem koniec mego żywota....



Katedra w
Meridzie

Kolejną okazją do wyjazdu z Caracas był Wielki Tydzień i Wielkanoc, która wypadła wówczas 22 kwietnia. Postanowiliśmy tym razem odwiedzić przeciwny kraniec Wenezueli, a mianowicie Andy Wenezuelskie i ich stolicę, miasto Mérida, odległe od Caracas o 680 km na południowy zachód. O ile pamiętam, poleciliśmy tam samolotem. Założona w 1558 roku Mérida leży u stóp najwyższych gór Wenezueli, Sierra Nevada de Mérida (Śnieżne Góry Méridy), z najwyższym szczytem Pico Bolívar (5007 m. n.p.m.). Góry te stanowią najdalej na północ wysunięty łańcuch wysokich Andów. Samo miasto Mérida, choć tak dawno założone, nie może się pochwalić, niestety, żadnymi ciekawszymi zabytkami z okresu

kolonialnego, może z wyjątkiem katedry i kilku domów w jej pobliżu. Przecina je rwąca górską rzeka Chama, która nadaje miastu swoisty urok. Na północno-wschodnim skraju miasta odwiedziliśmy Ogród Zoologiczny Wodospady Milla (*Parque Zoológico Chorros de Milla*), gdzie największą atrakcją były dla nas owe wodospady, dość wysokie, spadające dwoma segmentami. Andy są tak potężne i wyniosłe, że zamykają całkowicie wszelką perspektywę i stanowią de facto ogromny, czarno-biały, zwarty masyw tuż za południowo-wschodnimi obrzeżami miasta. W prostej linii najwyższe szczyty dzieli od miasta zaledwie około 10 km. Na szczytach widoczne są wieczne śniegi i lodowce.

Niestety, nie udało nam się wjechać kolejką linową na Pico Espejo (4765 m.n.p.m.), była akurat w remoncie. Pech niesamowity, bo jest to niewątpliwie największa atrakcja Méridy! Byliśmy niepokieszeni. Za to szczęście nam dopisało, gdy chodzi o locum. Zamieszkaliśmy bowiem w starym centrum, u pani Luisy de Opalinski, starszej już, ale wciąż eleganckiej i uroczej Francuzki, wdowy po polskim przemysłowcu panu Opalińskim, który sprowadzał do Francji tkaniny produkowane w Żyrardowie, a do Żyrardowa maszyny włókiennicze z Francji. W związku z tym pani Luisa знаła tylko dwa miasta w Polsce: Warszawę i właśnie Żyrardów. Gdy jej powiedziałem, że jestem z Polski, zapytała więc niezwykle oryginalnie: „Czy pan jest z Warszawy, czy z Żyrardowa?” Odpowiedziałem: „Prawie z Żyrardowa!”,

wszak miasto to dzieli od moich rodzinnych Skierniewic tylko 25 km. Pani Luisa była dla nas ogromnie miła. Codziennie rano stukwała do naszych drzwi radośnie wołając: „To idę ja!” i przynosiła nam do łóżka znakomite śniadanie na tacy. To wtedy, pierwszy raz w życiu, ktoś mi przynosił do łóżka śniadanie. Zdarzyło mi się to później w Domu Pracy Twórczej w Oborach. Jedynym mankamentem była tam niezwykle zimna woda w kranach, płynąca prosto z gór. Kontrast z Caracas ogromny! Myjąc tą wodą zęby odsłoniłem sobie ich szyjki, co sprawiało dotkliwy ból. Po powrocie do Caracas miałem więc dodatkowy wydatek z ich plombowaniem u prywatnego dentysty, który słono sobie za to policzył. W ogóle temperatura w samym mieście i jego okolicach, zwłaszcza rano i wieczorem, była dość niska i musieliśmy wtedy chodzić w swetrach, rzecz nie do pomyślenia w innych regionach Wenezueli. No, ale byliśmy bardzo wysoko, wszak sama Mérida leży na wysokości 1645 m., a odwiedzaliśmy przecież także miejsca znacznie wyżej położone, na przykład Páramo de Mucuchíes, często spowity we mgłę płaskowyż, porośnięty łąnami żółtych *frailejones* (*Espeletia schultzii*), bardzo podobnych do kwiatów podbiału, ale większych. Ich łodygi są długie, sięgają jednego metra, a rosnące w zwartych kępach duże liście są wełniste, grube i przypominają nieco, gdy chodzi o konsystencję, liście szarotki. Patrząc teraz na moją fotografię z tego płaskowyżu. Siedzę na niej w grubym swetrze u stóp ostrego głazu, a dookoła szare, mięsiste kępy wielkich liści frailejonu. Z tyłu mgła zakrywająca, niestety,

bardziej otwarte tutaj perspektywy. By wjechać na płaskowyż trzeba pokonać bardzo długi i stromy podjazd pełen bardzo ostrych zakrętów i serpentyn.



Ruana. Poncho w Andach wenezuelskich

Warto powiedzieć parę słów na temat budownictwa, strojów i upraw w tym regionie. Otóż to wszystko wygląda zupełnie inaczej, niż w innych częściach Wenezueli. Wydawać by się mogło, że w istocie jesteśmy w innym kraju, a wszystko dlatego,

że to Andy, kraina zamieszкана przez Indian andyjskich lub tutejszych Metysów, a więc ludy zupełnie inne etnicznie, niż na nizinach. Ubierają się zgodnie z panującym tu chłodem w czerwone poncza zwane *ruanas*. Domy także dostosowane są do klimatu, mają grube ściany z kamienia, a dachy kryte czerwoną okrągłą dachówką są bardziej strome z uwagi na częstsze opady deszczu. Wysokogórskie hale, pola i skraje dróg odgradzone są kamiennymi murkami. Uprawia się pszenicę, a spośród drzew dominują tu charakterystyczne dla Andów eukaliptusy. Jest rzeczą znaną powszechnie, że granice państw latynoamerykańskich wytyczono w sposób niezwykle sztuczny, dzieląc regiony stanowiące etniczną, kulturową i klimatyczno-geograficzną całość. Tak się stało i tutaj. Andy wenezuelskie to przedłużenie Andów kolumbijskich, z którymi mają pod każdym względem więcej wspólnego, niż z jakimkolwiek nizinnym regionem Wenezueli.

Typowym andyjskim miasteczkiem turystycznym jest Jají, położone w sercu gór, około 30 km na zachód od Méridy. Dominuje nad nim obszerny Plac Bolívara z kolonialnym kościółkiem o zgrabnej, pomalowanej na biało-niebiesko fasadzie i wdzięcznej dzwonnicy. Długie parterowe domki przy placu też utrzymane są w tych samych kolorach. Z placu wspaniały widok na gęsto porośnięte drzewami ciemnozielone doliny i spowite w chmurach wysokie szczyty na horyzoncie.



Miasteczko Jaji

Z okazji Wielkiejnocy przedstawiono na jednym z placów Méridy, tuż obok kościoła, widowisko pasyjne, a więc sceny z Ostatniej Wieczery, modlitwa Chrystusa w Ogrójcu i inne epizody poprzedzające Jego śmierć. Było to ukazane z tak przesadnym realizmem i nadmierną, sztuczną dbałością o szczegóły, że, mimo podniosłości całej symboliki, Rosario setnie się bawiła patrząc na zrezygnowaną minę rudowłosego Judasza, gdy siedząc na drzewie zakłada sobie pętlę na szyję lub na widok Chrystusa, który majestatycznie przechadza się wśród uczniów, ani na chwilę nie opuszczając ręki z dwoma palcami charakterystycznie złożonymi i uniesionymi ku górze. Dosłownie popiskiwała ze śmiechu!

Chyba niedługo po powrocie z Méridy odwiedziliśmy w dzielnicy Altamira Sur znajomego Polaka, pana Feliksa Żubra rodem ze Żmudzi. To jego mama powiedziała kiedyś do mnie, że nie może pojąć, jak to jest, że polska młodzież nie chce się dobrze nauczyć rosyjskiego. „Przecież język wroga trzeba znać doskonale!” Na to ja: „Wydaje mi się, że ja radzę sobie z nim nieźle”. Ona: „Nu, dawajcie, pogovorim!” Ja: „Nu, dawajcie!” Po krótkiej rozmowie uznała, że faktycznie nieźle sobie radzę i że chyba jestem wyjątkiem...

Pan Feliks, gdy dowiedział się, ile płacimy właścicielowi za wynajmowane od niego mieszkanie, stwierdził, że to stanowczo za dużo i że jest specjalna ustawa, która ustala te opłaty. Sprawdziliśmy i w efekcie okazało się, że przepłacamy i to bardzo. Powiadomiony o tym właściciel, niejaki Michele Sisco, Włoch z pochodzenia, nie był bynajmniej uszczęśliwiony, ale w końcu stanęło na tym, że nie będzie nam oddawał różnicy za minione miesiące, a my będziemy już teraz płacić mu tyle, ile wynika z owej ustawy. Tym sposobem zaczęliśmy oszczędzać na wielką wyprawę po Ameryce Południowej, zaplanowaną na koniec sierpnia.

W czerwcu przyjechał na wykłady do Instytutu Pedagogicznego znany hispanista-literaturoznawca z Uniwersytetu w Bordeaux, prof. Noël Salomon (1917-1977). Pamiętaliśmy o tym, że 21 czerwca, w Boże Ciało, musimy jechać do miasteczka San Francisco de Yare, niespełna 100 km na południe od Caracas, by zobaczyć tam słynne procesje "tańczących diabłów", znane w całej Wenezueli afro-wenezuelskie obrzędy. Pojechaliśmy tam autobusem w towarzystwie prof. Salomona i jego korpulentnej żony. Dzień był pochmurny, ale parny, duszny. Turystów chętnych obejrzenia słynnych diabłów, całe tłumy. Ciekawy bardzo jest ich czerwony strój z przypiętym z tyłu do kaptura żółtym słomianym krzyżem i niesamowita, fantastycznie kolorowa maska o twarzy niby ludzkiej, ale z wielkimi krowimi rogami i uszami, takie skrzyżowanie człowieka z bykiem. Inne

maski, rzadziej spotykane, są typowo zwierzęce, ale wyobrażają zwierzęta fantastyczne, zbliżone do polskiego turonia. Wszędzie dominuje kolor czerwony nawet na ołtarzach wzniesionych na trasie procesji: kwiatów czerwonych jest najwięcej, a znacznie mniej różowych, białych czy żółtych. Dom Diabła, mieszczący siedzibę tego stowarzyszenia o charakterze głównie dobroczynnym i mającego na celu wzajemną pomoc i wspieranie wszystkich jego członków, także jest cały czerwony, a nad drzwiami wisi wielka czerwono-niebieska maska o twarzy “krowio-ludzkiej”. Diabły najpierw muszą w skupieniu wysłuchać mszy, ale nie wolno im wchodzić do kościoła: klęczą wszystkie na zewnątrz, a gdy msza się skończy, wychodzi ksiądz z kropidłem i święci diabły święconą wodą (sic!). Dopiero gdy są poświęcone, zaczyna się procesja uliczkami miasteczka. Idą tańcząc i potrząsając rytmicznie marakasami. Są to grzechotki zrobione z wydrążonych tykw i wypełnione nasionami. Zatrzymują się przed kolejnym ołtarzem i procesja kończy się przed Domem Diabła.



Maska diabła z Yare

Oto przykład afro-katolickiego synkretyzmu religijnego. Alejo Carpentier do swej powieści *Podróż do źródeł czasu* wplótł ten motyw tańczących diabłów, ale całą scenę umiejscowił gdzie indziej, a mianowicie wśród ruin klasztorów Kapucynów

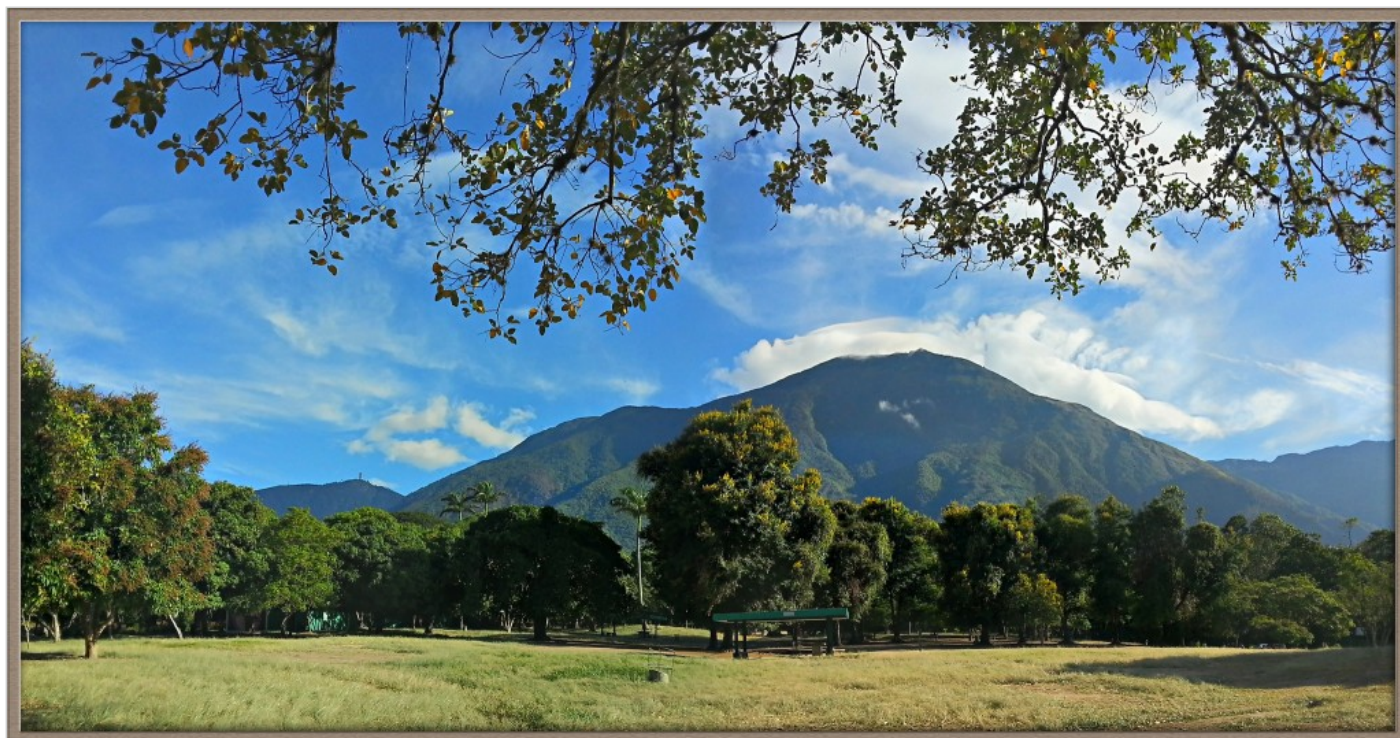
Katalońskich, na skraju gujańskiej dżungli, nad rzeką Orinoko, we wschodniej Wenezueli.

Mniej więcej pod koniec czerwca wzięli ślub nasi bliscy znajomi, Olivia Carmona i Artajerjes Muñoz. Byliśmy oboje na skromnym przyjęciu poślubnym, które odbyło się u Arty, w samym centrum Caracas. Wybrali się potem w miesięczną podróż poślubną po Ameryce Południowej, zaczynając od Kolumbii, przez Ekwador, Peru, Boliwię, Chile, Argentynę, Urugwaj, a kończąc na Brazylii. Po powrocie opowiadali nam swoje wrażenia i postanowiliśmy, idąc za ich przykładem, zorganizować podobną podróż przed powrotem do Europy i załatwić ją nawet w tym samym biurze podróży, czyli w Italcambio. Podróż ta była stosunkowo tania, ale nie można było przekroczyć 30 dni od momentu wyjazdu. U mnie były, oczywiście, problemy z wizami. Z tego powodu odpadła tym razem Kolumbia, ale nie żałowaliśmy specjalnie, bo już trochę znaliśmy ten kraj. Zresztą, szczerze mówiąc, dobrze, że tak się stało, bo mielibyśmy mniej czasu na pozostałe kraje. Do krajów o reżimach lewicowych wiza była niepotrzebna. Były to wówczas Ekwador, Peru i Chile. Do Boliwii, mimo, że rządził tam wówczas prawicowy Hugo Banzer, wizę dostałem bez problemów. Wciąż nie miałem wizy argentyńskiej, ani brazylijskiej. W Urugwaju rządziła wtedy prawicowa junta wojskowa i w konsulacie powiedziano mi, że nie mam najmniejszych szans z moim paszportem PRL. Pozostawała jeszcze do załatwienia przed wyjazdem wiza amerykańska. Mieliśmy bowiem wracać do

Hiszpanii przez Puerto Rico i nie można było zostawiać tego na ostatni tydzień pobytu w Wenezueli, po powrocie z wyprawy. Jednym słowem mnóstwo biegania i załatwiania, a tu jeszcze miałem do skończenia tłumaczenie z hiszpańskiego na polski *Antologii Andrésa Bello*, wielkiego dziewiętnastowiecznego pisarza i humanisty wenezuelskiego, w opracowaniu samego ówczesnego prezydenta Wenezueli, Rafaela Caldery. Jeździłem więc codziennie do Instytutu Pedagogicznego i w swoim *cubículo*, odgrodzonym od innych tylko przepierzeniami, spędzałem całe godziny pisząc na maszynie mój przekład. Wiezorami nikogo już nie było poza mną i komary zlatywały się całymi chmurami tnąc bezlitośnie. Bronilem się przed nimi obficie rozpylając naokoło płyn przeciw komarom. Doszło do tego, że zatrąłem się jego wyziewami i przez kilka dni musiałem się kurować, by móc kontynuować moją pracę.

Naszym pożegnaniem z Caracas była niedzielna wycieczka do *Parque del Este* (Parku Wschodniego), największego i najpiękniejszego parku wenezuelskiej stolicy. Aby tam dotrzeć musieliśmy przejechać przez całe miasto, z zachodu, gdzie mieszkaliśmy, na wschód. Największą atrakcją tego parku jest jeziorko porośnięte cudowną wodną roślinnością, a więc różowo kwitnącymi nenufarami, jakimś rodzajem kalii wodnych na wystających wysoko nad wodą grubych, szarych łodygach i wieloma innymi pięknymi roślinami, które tworzą na powierzchni wody istne ciemno-zielone dywany. Na jeziorku tym zacumowano

pięknie wykonaną replikę karaweli *Santa María* Kolumba. Teraz dowiaduję się, że w 2008 roku Chávez nakazał jej rozmontowanie (podobno była w bardzo złym stanie), a na jej miejscu umieszczono wielką korwetę żaglową *Leander*, którą jeden z wielkich bohaterów walk o niepodległość, Francisco de Miranda, przyплыł w 1806 roku do wybrzeży Coro (450 km na zachód od Caracas). Z Parku Wschodniego otwiera się wspaniała perspektywa na najwyższe szczyty Kordyliery Nadmorskiej, zwanej też Nadmorskimi Andami, prawie zawsze spowite w chmurach.



Park Wschodni



Fregata Leander w Parku Wschodnim

Na kilka dni przed odlotem do stolicy Ekwadoru, Quito, co nastąpiło w połowie sierpnia, Rosario zdecydowała, że musimy spakować wszystkie nasze rzeczy i poza tym, co zabierzemy ze sobą w podróż, wszystko inne (a było tego sporo) zostawimy u Państwa Adamowiczów. Po powrocie z wyprawy spędzimy ostatni tydzień przed wyjazdem do Madrytu w hotelu *El Pinar* w naszej dzielnicy *El Paraíso*. Szczerze mówiąc nie byłem zachwycony taką decyzją, bo okropnie nie lubię mieszkać w

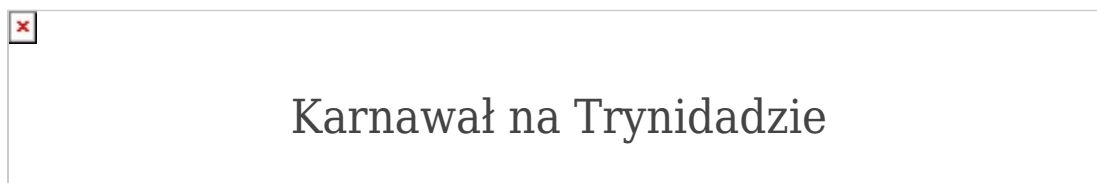
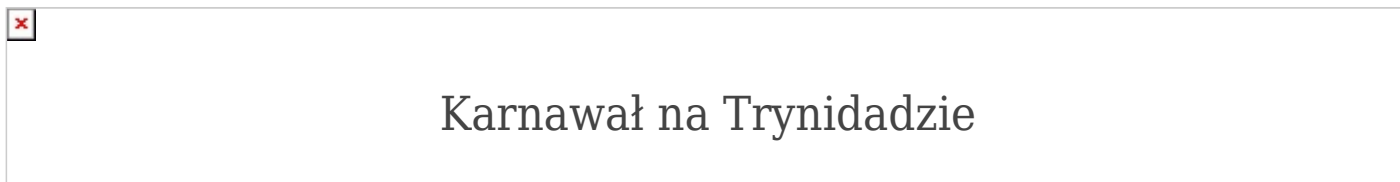
hotelach, ale Rosario uznała, że tak będzie najlepiej i w końcu uległem. Zbliżała się data wielkiej wyprawy...

Poprzednie części:

<http://www.cultureave.com/od-lupi-do-parany-i-amazonki-czesc-i/>

<http://www.cultureave.com/od-lupi-do-parany-i-amazonki-czesc-ii/>

Galeria



Od Łupi do Parany i Amazonki. Część I.



Biblioteca Nacional, Caracas

Ameryka Łacińska, Hiszpania i Portugalia oczami polskiego iberysty

Dziennik z podróży ukazuje się w drugi czwartek miesiąca

Zygmunt Wojski

Jak to się stało, że właśnie Wenezuela? Kuba, Hiszpania, nawet Francja były niejako częściowo uwarunkowane zewnętrzną sytuacją, z góry, w pewnym sensie, „narzucone”, zaprogramowane przez zainteresowania zawodowe. Wenezuela zaś to w pełni mój osobisty, suwerenny wybór dokonany samodzielnie po lekturze *Doñii Barbary* Rómulo Gallegosa, a także dzięki fascynacji ludową muzyką na harfę – cudowny instrument! Rómulo Gallegos niezwykle sugestywnie maluje w swojej powieści życie mieszkańców Llanos, tych bezkresnych równin zajmujących jedną trzecią część Wenezueli, stwarza jakąś tajemniczą, cudowną atmosferę opisując przebogatą florę i faunę tego obszaru wielkości Polski, a ponadto nie tylko w dialogach, ale i w narracji używa bardzo malowniczego tamtejszego języka, który stał się punktem wyjścia moich badań leksykalnych. Głębokie tony harfy także tkają kanwę jakiegoś muzycznego misterium. Tak przynajmniej to odbierałem. Może to była konieczność stworzenia sobie baśni na prywatny użytek, baśni w odległym, nieznanym, tajemniczym świecie?

I tak stworzyłem dla siebie własny, baśniowy obraz tego kraju i starałem się maksymalnie pogłębić wiadomości na jego temat czytając książki wypożyczane z biblioteki Ambasady Wenezueli w Warszawie. Ambasadorem był wówczas poeta Vicente Gerbasi (1913-1992), a sekretarzem Roy Chaderton (ur. w 1942 roku), z

którym często utrzymywałem kontakty. Zabiegałem o to, by jak najczęściej przebywać w towarzystwie Wenezuelczyków z nadzieją, że w ten sposób dowiem się czegoś ciekawego o ich kraju. Kiedyś poznałem wenezuelską pianistkę polskiego pochodzenia Evę Marię Zuk, która wyszła za mąż za Meksykanina i od ślubu mieszka z nim w Meksyku. Zagadnąłem ją, który z tych trzech krajów uważa za swoją ojczyznę. Odparła: „Gdybym miała oddać życie za jakiś kraj, byłaby to z pewnością Wenezuela”. No proszę, pomyślałem sobie. Jeśli tak mówi młoda atrakcyjna dama, to w istocie ten kraj musi być nadzwyczajny. Zupełnie nie brałem pod uwagę faktu, że Eva Maria Zuk urodziła się, spędziła dzieciństwo i wczesną młodość właśnie w Wenezueli i że w jej sytuacji taka odpowiedź była czymś naturalnym. Mnie wszakże posłużyła do wzbogacenia mojego baśniowego obrazu Wenezueli.

Teraz, od momentu wylądowania na lotnisku Maiquetía w dniu 1 maja 1972 roku, miała nastąpić konfrontacja mojego prywatnego mitu z rzeczywistością. Lotnisko znajduje się tuż nad Morzem Karaibskim, 16 km od Caracas, które leży dość wysoko, 920 m nad poziomem morza, w wąskiej, długiej ponad dwudziestokilometrowej dolinie u stóp pasma zwanego Kordylierą Nadmorską, z górującym nad miastem szczytem Ávila (2137 m). Mit wciąż działał, więc po drodze do stolicy oczarowały mnie migające przed oczami kolorowe domki stłoczone na stokach gór. Dopiero potem miałem okazję im się

przyjrzeć. Okazało się, że są to *ranchitos*, czyli zwykłe slumsy sklecone z byle czego na wzgórzach zwanych *cerros*. Taka jest wizytówka stolicy Wenezueli od strony lotniska. Później dowiedziałem się, że w tych *ranchitos* pokrywających szczelnie stoki *cerros* wokół miasta mieszka połowa ludności dwumilionowej wówczas stolicy.

Wjechaliśmy do centrum handlowego. Wśród niskiej, niezbyt ciekawej zabudowy strzelają tu i tam okazałe wieżowce. Najstarsza część miasta jest niewielka i skromna. Całkowicie tonie w powodzi współczesnej tandety architektonicznej. Najciekawszy jest mały Plac Bolívara, z fontannami, pięknie zadrzewiony. Pod konarami rozłożystych drzew pomnik generała na koniu (pomniki Bolívara są wszędzie!), a po najwyższych gałęziach próbują się poruszać niezwykle powolne leniwce, jakże zasługujące na swą nazwę! Zawsze jakaś grupka przechodniów z zadartymi głowami wpatruje się w nie z ciekawością. W rogu placu interesująca bryła katedry z XVII wieku, dalej klasztor i kościół św. Franciszka z 1574 roku i dwa przylegające do siebie najciekawsze w mieście domy kolonialne: dom, w którym w 1783 roku urodził się bohater narodowy Wenezueli, Kolumbii, Ekwadoru, Peru i Boliwii – Simón Bolívar oraz siedziba Muzeum Bolívara. Wysokie okna z żelaznymi kratami, ciekawe portale. I to niemal wszystko, gdy chodzi o kolonialne Caracas. Jeszcze daleko stąd, u stóp góry Ávila, willa Anaúco, siedziba Muzeum Sztuki Kolonialnej. Te nieliczne okazy z epoki kolonialnej

kilkakrotnie odbudowywano po częstych tutaj trzęsieniach ziemi.



Katedra, Caracas

Jednak prawdziwą wojnę zabytkom Caracas wydali sami władcy miasta, wyburzając począwszy od połowy XX wieku wszystko, co miało związek z przeszłością, by wznieść wysokościowce i wybudować ogromne autostrady okalające czy wręcz przecinające miasto. Z wyjątkiem malutkiego starego miasta pieszy nie ma w Caracas najmniejszych szans: większość ulic

poza centrum pozbawiona jest chodników, a ruch samochodowy jest niezwykle intensywny. Miasto stworzone jest wyłącznie dla zmotoryzowanych. Nie należałem do nich, toteż nie dziwota, że nie przypadło mi do gustu. Nie zawiodła mnie, jak zwykle, wyjątkowo piękna tutaj tropikalna roślinność. Chyba w żadnym innym tropikalnym mieście nie widziałem takiej ilości cudownie kwitnących drzew i krzewów. Zachwyciły mnie zwłaszcza ogromne *bucares* (*Erythrina poeppigiana*) z wielkimi ogniście czerwonymi kielichami kwiatów oraz fioletowo kwitnące *guarupas* (*Jacaranda filicifolia*), wiele różnorodnych gatunków palm, zbite kępy bambusów...

Najwięcej pięknej roślinności można zobaczyć na wzgórzach zabudowanych eleganckimi willami. Wzgórza te zwą się *colinas* w odróżnieniu od *cerros* pokrytych slumsami i znajdują się w bezpiecznej odległości od tych ostatnich. Czytelnikom nie znającym języka hiszpańskiego wyjaśniam: *cerro* i *colina* to synonimy oznaczające wzgórze, górę, ale to pierwsze słowo ma charakter bardziej gminny, pospolity, niż to drugie. Na *colinas* mieszkają najzamożniejsi, w willach-fortecach otoczonych często wysokimi murami. Zarówno tu, jak i w innych eleganckich dzielnicach, położonych tuż u stóp góry Ávila, w każdej takiej willi jest przynajmniej jedna służąca (najczęściej Mulatka) i jeden ogrodnik-kierowca w jednej osobie. Służące pracują w każdej zamożniejszej rodzinie wenezuelskiej i czasami traktowane są przez właścicieli jak niewolnice w epoce kolonialnej. Oto jeden z

kontrastów: szerokie autostrady z rwącymi potokami aut, nowoczesne wieżowce i ... służące-niewolnice.

Zamieszkałem w handlowej dzielnicy Chacaíto, we wschodniej części miasta, w niewielkim jednopiętrowym budynku przy Alei Franciszka de Mirandy 28. Właścicielka mieszkania, Doña Luisa Olavarrieta, starsza, ale wciąż elegancka i zadbana dama, była bliską przyjaciółką Eduarda i jego rodziny. Nazywali ją wszyscy „Luisita” (Ludwisia). Miała kudłatego białego psa o imieniu „Prince”, a ponieważ ta rasa nazywa się po hiszpańsku *perro de Pomerania* (pies pomorski), pani Ludwisia twierdziła, że jest moim rodakiem. Namiętnie oglądała (już wtedy!) brazylijskie seriale w telewizji, przeżywając niebywale perypetie ich bohaterów. Była też wielką miłośniczką *zarzuelas* (hiszpańskich operetek) i wciąż zapraszano ją na śluby i wesela. Pewnej soboty zdarzyło jej się być na trzech kolejnych ślubach!

Od początku mego pobytu jeździłem autobusem do położonej w starym centrum Biblioteki Narodowej. Mieściła się w dawnym klasztorze św. Franciszka, zwanym obecnie Pałacem Akademii (mieszczą się w nim również trzy czy cztery sekcje Akademii Nauk). Muszę przyznać, że niełatwo było mi się skupić na lekturze traktatów lingwistyczno-etnologicznych w wilgotnym, dusznym upale dochodzącym czasem do 30 stopni (wewnątrz nie było klimatyzacji). Mimo wszystko, z uwagi na wysokie położenie Caracas, upał był o wiele znośniejszy, niż w Hawanie. Zwłaszcza

noce były przyjemnie ciepłe, z lekką bryzą, nigdy upalne. Pod wieczór chodziłem do pięknego ogrodu naprzeciwko domu Doñii Luisy. Siadałem na ławce w cieniu i czytałem. Niestety, podczas jednej z takich wizyt podszedł do mnie jakiś malec i rzekł: „Mój dziadek nie lubi, kiedy pan tu przychodzi”. Przeprosiłem i na tym skończyło się odwiedzanie tego miejsca, którego właścicielom przeszkadzała moja dyskretna obecność. Pozostawała mi ruchliwa arteria do spacerów jej niebezpiecznym skrajem. Kiedyś późnym wieczorem nagle tuż przy mnie zatrzymało się jakieś auto, z którego „wysypała się” – niby to przypadkiem wprost na mnie – całkiem młoda „wesoła” Mulatka. Auto odjechało i wywiązał się między nami taki oto dialog:

Ona: Idziemy?

Ja: Idziemy!

Ona: A dokąd?

Ja: No, na przykład, na Plac Wenezuelski (było to dobre 3 km stamtąd).

Ona (kładąc mi rękę na ramieniu i z żalem w głosie): Ależ kochanie, ja pracuję!

Przez pierwsze cztery miesiące byłem stypendystą rządu

wenezuelskiego i poza pracą w Bibliotece Narodowej odbywałem rozmowy i wywiady z etnologami, etnografami i dziennikarzami w różnych instytucjach naukowych i redakcjach czasopism (*El Nacional*, *Imagen*). Odwiedziłem między innymi siedzibę Towarzystwa im. Bolívara (*Sociedad Bolivariana*) i odbyłem rozmowę z jego ówczesnym prezesem Pedro Grasesem. W Instytucie Folkloru rozmawiałem z wybitnym etnologiem Luisem Felipe Ramónem y Riverą, a w Narodowym Instytucie Kultury i Sztuk Pięknych (INCIBA) moim rozmówcą był Luis Arturo Domínguez, autor interesujących prac na temat literackiego i muzycznego folkloru Wenezueli. W siedzibie Wenezuelskiej Akademii Języka Hiszpańskiego przyjął mnie jej dyrektor, wybitny krytyk literacki Ojciec Pedro Pablo Barnola. Wszystkie te interesujące rozmowy i spotkania aranżował Eduardo, któremu zawdzięczam właściwie wszystko, gdy chodzi o mój pobyt w Wenezueli. Przed wyjazdem do Watykanu, gdzie objął stanowisko ambasadora Wenezueli przy Stolicy Apostolskiej, towarzyszył mi także w czterech wyprawach: 1. na Wyspę Margarita przy wschodnim wybrzeżu Morza Karaibskiego, 2. do wioski Colonia Tovar, w górach, 60 km na zachód od Caracas, 3. na miejsce bitwy pod Carabobo, która w 1821 roku zadecydowała o niepodległości Wenezueli, 4. na plażę Chichiriviche, około 50 km na zachód od Caracas.



Pierwsza wyprawa była najdalsza i chyba najciekawsza.

Jechaliśmy nocą do Puerto La Cruz na wschodnim wybrzeżu, przecinając wspaniałe lasy tropikalne i plantacje kakao. Wychylałem się przez okno samochodu i chłonałem to wszystko całym sobą, nie mogąc nasycić się cudowną wonią kipiącej po obu stronach drogi roślinności. Śmignął nam w pewnym miejscu *rabipelado* (*Didelphis marsupialis*), czyli torbaczk zwany dydelfem. Pisząc te słowa sam zastanawiam się, dlaczego tak bardzo kocham najgłębszą z możliwych miłości ten tropikalny, kolorowy świat, pełen cudownych zapachów i barw, niesamowicie pięknych form, fantastycznie wkomponowanych w krajobraz. Odpowiedź tkwi w samym pytaniu i już właściwie nic nie muszę dodawać. Od maja do października trwa w Wenezueli pora deszczowa, czyli „zima” (co nie odnosi się w najmniejszym stopniu do niższych temperatur, a do faktu, że bardzo często padają ulewne deszcze). Przeżyliśmy taką tropikalną, może godzinną ulewę, po której zaraz wypogodziło się, a za jakiś czas wstało prażące słońce.

Z Puerto La Cruz po 4 – 5 godzinach podróży promem dotarliśmy na oddaloną o jakieś 120 km Wyspę Margarita, której rozmiary 84 x 42 km pozwalają w krótkim czasie dość dokładnie ją poznać. Wyspa słynie z pięknych plaż (dopiero pół roku później mogłem to w pełni docenić), hodowli ostryg i połowu pereł, stąd jej nazwa Margarita, co po grecku znaczy „perła”. W drodze powrotnej, tuż za Puerto La Cruz, zwróciłem uwagę na obsypane pięknymi złotymi kwiatami drzewa zwane *araguaney* (*Tabebuia*

spectabilis). Rosły na wzgórzach pokrytych suchymi, kolczastymi krzewami i niskimi drzewami. *Araguaney* to narodowe drzewo Wenezueli. To piękna tradycja w Ameryce Łacińskiej: każdy kraj ma swoje narodowe drzewo, kwiat i ptaka. Takim narodowym kwiatem jest orchidea (także na Kubie), a ptakiem – wspaniały śpiewak, czarno-żółto-biały *turupial* lub *turpial* (*Icterus icterus*), bardzo często hodowany w klatkach. Nie ukrywam, że mieliśmy zamiar, żona i ja, przywieźć takiego *turpiala* do Europy, ale chyba dobrze się stało, że tego w końcu nie zrobiliśmy. Pewno wkrótce dokonałby żywota w tej naszej zimnej, mglistej i smutnej części świata, głównie z tęsknoty za słońcem i rajskim otoczeniem.

Colonia Tovar to niemiecka wioska położona na wysokości 1700 m, założona przez osadników ze Schwarzwaldy w roku 1851. Klimat idealny ze względu na wysokość. Szachulcowe konstrukcje domów i kuchnia typowo niemieckie (znakomite strudle). Pole bitwy pod Carabobo znajduje się 220 km na zachód od Caracas, 38 km za miastem Valencia. Góruje nad nim monumentalny pomnik Bolívara. Jest plan sytuacyjny bitwy, płaskorzeźby przedstawiające poszczególne jej fazy.

Wspaniałym przeżyciem był wypad na plażę Chichiriviche de la Costa w obecnym stanie Vargas, około 30 km na zachód od lotniska w Maiquetía. Plaża znajduje się nad zatoczką w kształcie muszli. Wpada do niej mała rzeczka. Od strony lądu palmy

kokosowe, piękna roślinność. Miejsce trudno dostępne z uwagi na karkołomną górską drogę dojazdową. Wysoko na wzgórzach ogromne drzewiaste kaktusy *cardones*. Za lasem, jeden kilometr w głębi lądu, murzyńska wioska o tej samej nazwie Chichiriviche. Po raz pierwszy w życiu spędziłem dwie noce w hamaku. Spało się znakomicie.

Dzięki Eduardowi pokochałem kuchnię wenezuelską. Już pierwszego dnia zaprosił mnie na kolację do specjalizującej się w daniach narodowych restauracji „El Portón” (Wrota). Od razu podano *arepas* – okrągłe bułeczki z mąki kukurydzianej, ze śmietaną. Zastępują one w Wenezueli chleb i nawet portugalscy imigranci, których w Caracas bardzo dużo (są głównie właścicielami małych sklepików spożywczych), po powrocie do Portugalii zakładają restauracje, gdzie można je zamówić. Widziałem takie knajpki na Maderze. Zafascynował mnie także krem z malutkich małży morskich *chipi-chipi*. Oprócz *arepas* i zamiast kartofli czy o wiele powszechniejszego tu ryżu, jako składnik drugiego dania podaje się *cachapas*, grube, intensywnie żółte naleśniki z kukurydzy. Są przepyszne! Liczne potrawy z kukurydzy, na których opiera się kuchnia wenezuelska, to przysmaki indiańskie ochoczo zaakceptowane przez wszystkich Wenezuelczyków, także białych przybyszów z Europy, wśród których najwięcej jest Włochów, Hiszpanów i Portugalczyków.

Kilka zdań należy poświęcić owocom tropikalnym. Takiego

bogactwa i różnorodności gatunków nie widziałem w żadnym innym kraju. Mówiono mi, że w Wenezueli istnieje ponad sto odmian samych bananów. Najcudowniejszym, prawdziwie rajskim owocem jest Mango (tak, świadomie piszę tę nazwę dużą literą, inaczej nie uchodzi!), którego smak, aromat, soczystość wywołują u konsumenta poczucie absolutnego spełnienia. Jedząc Mango doznaje się uczucia pełni doskonałości smakowej, jakiejś kulinarnej nirwany, całkowitego oderwania od codzienności, odfrunięcia na niebiańskie wyżyny genialnej perfekcji. Aż dziw, że dotąd nie wzniesiono pięknego pomnika Mango...



Llanos, Wenezuela

Na słynne równiny Llanos de Apure, tak sugestywnie opisane w

powieściach Gallegosa, poleciałem sam. Nie sposób w paru zdaniach oddać różnicy między wrzaskliwym, szalonym, pulsującym niesamowitym rytmem Caracas, a tą głuszą, w której czas całkiem się zatrzymał od przybycia Kolumba, a może i od wcześniejszych epok. Po spędzeniu dwóch dni w zapadłej stolicy stanu Apure, sennym mieście San Fernando, położonym nad drugą co do wielkości (po Orinoko) rzeką Apure, poleciałem malutką wojskową awionetką do hacjendy hodowlanej Trinidad de Arauca, co znaczy Święta Trójca nad Arauką, kolejnym wielkim dopływem Orinoko. Lepiej nie mogłem trafić: rzeka Arauca jest rozślawiona na całą Amerykę Łacińską dzięki piosence będącej nieformalnym, drugim hymnem narodowym Wenezueli. Zaczyna się od słów: „Urodziłem się nad bystrym nurtem Arauki. Jestem bratem rzecznej piany, czapli, róż i słońca!” Jeszcze i ten obraz wzbogacał moją osobistą mitologię Równin. Szukałem jej potwierdzenia w rzeczywistości i o dziwo, wiele z jej wątków odnalazłem.

Już widok jeźdźców na koniach pędzących po bezkresie rozlewisk i rozpryskujących ogromne strugi wody, jakby znieruchomiałe w mojej optyce obserwatora z awionetki lecącej 300 metrów nad ziemią, idealnie pokrywał się z wizją Gallegosa. Nad sawanną przelatywały stada śnieżnobiałych czapli i szkarłatnych ibisów. Nie, stanowczo nie potrafię wyrazić tej bolesnej niemal radości, jaką odczuwałem patrząc na ten pejzaż tuż pode mną. Czułem się wyróżniony, ogromnie wyróżniony przez Boga i tylko myślałem,

że choćby dla takich chwil warto, warto żyć! A swoją drogą dlaczego nikt nie kręci filmów ukazujących to nieprawdopodobne piękno wenezuelskich Równin podczas ciężkiej pracy tamtejszych kowbojów, zamiast tych kretyńskich amerykańskich filmideł, gdzie wciąż leje się krew i dominuje przemoc? Dlaczego ludzie tak kochają brzydotę i zło, wszystko, co ohydne, barbarzyńskie, odrażające? Oj, nie najlepiej to świadczy o naszych bliźnich!

Decyzją właściciela hacjendy, José Natalio Estrada, starszego pana, który popenił dość kiczowaty poemat symfoniczny pod tytułem *María del Llano* (Maria z Równin) zamieszkałem w tak zwanej „klatce” (*la jaula*), białym baraku krytym falistą blachą. Miało to dwa zasadnicze plusy: był tam działający prysznic i hamak do spania, oba niezwykle istotne wobec nieustannego, **potwornego** upału. Nie było żadnych mebli poza stołem, na którym położyłem walizkę i magnetofon do nagrań wywiadów z mieszkańcami hacjendy. Muszę przyznać, że wyglądało to dość surrealistycznie. Na drugim hamaku co jakiś czas spał pracujący w hacjendzie kowboj Pedro Emilio Sánchez. Dopiero niedawno dowiedziałem się, że był także znanym śpiewakiem z Równin. Umarł przedwcześnie w 1981 roku.

Rozmawiałem głównie ze starszym panem, który nazywał się Luis Magín Aranguren. Poleciał mi go właściciel hacjendy dodając: „Ten staruszek dużo wie!”. W istocie wiedział bardzo

dużo. Potrafił szczegółowo opisać każdego ptaka, każdą roślinę, ponadto sypał anegdotami, recytował ludowe wierszyki, opowiadał własne przygody. Był wspaniałym rozmówcą, a jednocześnie miał w sobie dużo naturalnej godności. Nagrania z jego udziałem były dla mnie ogromną przyjemnością, choć pod koniec pot lał się ze mnie strumieniami. Otoczenie było szczególne. Tuż obok hacjendy toczyła swe czekoladowe wody szeroka Arauca. Na jej środku wyspa Angelero, skąd dochodziło niesamowite chrapanie małp wyjców, zwłaszcza o świcie i pod wieczór. Spotykano na jej brzegach także kajmany, gdzie indziej niemal wytępione ze względu na cenną skórę. Na wielkich liściach palm i w koronie drzew na podwórku przesiadywały gromadnie *tautacos* (*Theresticus caudatus*), czyli nieco inny gatunek ibisów o szaro-białym upierzeniu. Ustawicznie słyszeć było ich monotonny, bardzo głośny, urywany krzyk. Pod wieczór milkły zupełnie. Na środku podwórka wielkie drzewo – kurnik. W Wenezueli to zjawisko powszechne: kury zwawiej fruwać niż w Europie i są zdolne pofrunąć na gałęzie drzewa, które traktują jako grzędę do spania.



Ocelot

Już pierwszej nocy zakradł się na nie *cunaguaro* (*Felis tigrina*), kot nieco mniejszy, niż ocelot, o pięknym, cętkowanym jak u jaguara futrze. Spłoszony skoczył z drzewa na dach baraku, w którym spałem. Tam zastrzelił go kierowca Gamarra. Proszę sobie wyobrazić, jak się czułem, gdy w środku nocy usłyszałem strzały i huk jakiegoś ciężaru spadającego na dach, a potem toczącego się w dół. Powtarzam: była to moja pierwsza noc w hacjendzie. Wyobrażałem sobie, że to Indianie *Yaruros* z drugiego brzegu Arauki zaatakowali hacjendę, wszak Gallegos

pisał o nich jako o dość wojowniczym plemieniu. Teraz wiem, że już w połowie XX wieku zostało ich niewiele, żyli w nędzy, pozbawieni pracy i rozproszeni. Nazajutrz pokazano mi winowajcę. Leżał rozciągnięty na drewnianym podwyższeniu, z roztrzaskanym pyskiem. Futro miał przepiękne! Bardzo mi go było żal.

Z drugiej strony remontowanej wówczas willi właściciela rosły jakieś krzewy, wśród których spacerowały wielkie tamtejsze „indyki” – *paují* (*Crax nigra*) o czarnych, lśniących piórach i kędzierzawym dużym czubie na głowie. Droga prowadziła w głąb sawanny. Bliżej rzeki z gałęzi wielkich drzew zwisały długie gniazda *arrendajos* (*Cacicus cela*), pięknych czarno-żółtych ptaków. Lubiłem chodzić nad Araukę, ale nie zapuszczałem się daleko w obawie przed jadowitymi węzami. Sceneria była nieprawdopodobna. Od zapadnięcia zmroku przez całą noc rozbrzmiewał wspaniały głośny koncert niezliczonej ilości insektów. Stanowił doskonałą chóralną kołysankę. Niebo usiane było zawsze mrowiem mocno i jakoś bardzo nisko świecących gwiazd. A jeszcze opowieści Gamarry o tym, jak upolował kapibarę w starorzeczu Arauki. Jej mięso uchodzi za wielki przysmak na Równinach. Przyznam, że nie wprowadziło mnie w zachwyt.

Mijały godziny i całe dni, a obiecana podróż łodzią w górę rzeki do miasteczka Elorza nie dochodziła do skutku. Już byłem

znieczierpliwiony bezczynnością. Nikt nie wiedział, o co mi chodzi, bo miałem przecież gdzie spać i co jeść i zupełnie nie wiedzieć czemu spieszyłem się do Caracas. „Po co do Caracas? Czy tu panu źle? Tu jest prawdziwe, wspaniałe życie!” Mimo tych zapewnień, posuwając się niemal do granicy niegrzeczności wymogłem na panu José Natalio, że nazajutrz pojedę konno wraz z kowbojami aż do odległego o 15 km folwarku Agua Verde (Zielona Woda), by po drodze przyjrzeć się, jak wygląda chwytanie dzikiego bydła na lasso, pędzenie świeżo schwytanych byków i krów wewnątrz stada oswojonych i wreszcie ujarzmianie tych dzikich poprzez ujeżdżanie i powalanie przez młodziutkich chłopców odpowiednim chwytem za ogon, a potem pieczętowanie tak poskromionego bydła rozpalonym żelazem z inicjałami właściciela. Ostatnie stadium, ujeżdżanie i pieczętowanie odbywało się już w zagrodzie, w samym folwarku. Zwłaszcza ujeżdżanie było ogromnie trudne. Narowiste zwierzę zrzucało wielokrotnie jeźdźca na ziemię zanim się poddało i pozwoliło powalić. Chłopcy – jeźdźcy mieli pod koniec tej zawziętej walki ubranie całe w strzępach. Mimo pozornego poskromienia, jedna z krów tak mocno uderzała głową o drągi ogrodzenia aż popełniła samobójstwo.

Podczas całej operacji kowboje mieli na mnie baczenie, ale parę razy znalazłem się w samym środku akcji chwytania na lasso rozjuszonych i wściekle szarpiącego się byka. Poza tym straszili, gdy przedzierałismy się przez rozlewiska: „Proszę uważać! Pod

wodą mogą być kajmany!”. Nie miałem podstaw, by im nie wierzyć, bo po drodze widzieliśmy *babos* (*Caiman sclerops*), nieco mniejszych i mniej agresywnych kuzynów kajmanów, które też mają zęby nie od parady. Podnosiłem więc wysoko stopy na wypadek, gdyby jakiś kajman chciał mi je napocząć i czułem się pewniej dopiero gdy wynurzyłem się wraz z koniem ponad powierzchnię wody. Sama jazda konna przez soczystą, intensywnie zieloną sawannę była czymś niezapomnianym. Co jakiś czas mijaliśmy siedzące na drzewach i brodzące w rozlewiskach stada białych czapli i szkarłatnych ibisów, które podrywały się do lotu. Przysięgam, że rzadko widywałem coś równie pięknego, chyba nigdy! Młode ibisy są jeszcze różowe, ale dorosłe mają pióra tak intensywnie szkarłatne, że na tle ciemnozielonego dywanu sawanny takie przelatujące stado wygląda nieziemsko pięknie. Dla Europejczyka taki obraz jest ucieleśnieniem absolutnie cudownym jakiejś baśniowej sceny, którą widział w dzieciństwie na ilustracji lub w kinie na przepięknym radzieckim filmie rysunkowym. Tak, bo te radzieckie filmy rysunkowe dla dzieci były przepiękne.

Na kolację było, oczywiście, świeżo upieczone mięso wołowe z owej krowy, która sama się zabiła. W momencie, gdy kowboje układali się w hamakach do snu, przyszło mi do głowy, by dyskretnie zapytać jednego z nich, gdzie jest toaleta. „Toaleta? – odparł lekko zdziwiony. A tu wszędzie dookoła, gdzie tylko pan sobie życzy!”, przy czym wykonał ręką odpowiedni szeroki gest.

Nagle uświadomiłem sobie, jak dalece śmieszne, by nie powiedzieć idiotyczne było moje pytanie. Na drugi dzień był już tylko powrót konno do hacjendy Trinidad de Arauca. Nabrałem takiej pewności siebie, że jechałem już całkiem szybkim truchtem. Wyprzedzał mnie Juan Ramón i śpiewał pięknie improwizując. Ten jego improwizowany śpiew przy zachodzącym słońcu, pośrodku cudownej, zielonej, bezkresnej wenezuelskiej Równiny, był godnym końcowym akcentem mego pierwszego pobytu na Wielkich Równinach.



Wielkie Równiny

Cała ta wyprawa należy do najcudowniejszych przeżyć w moim życiu. Ileż w niej magii, tajemniczości, a przy tym sam się przekonałem, że Rómulo Gallegos miał po stokroć rację: to nie fantazja, to rzeczywistość, tyle, że magiczna. Ogrom Równiny Wenezueli, tak jak argentyńska pampa, wyzwala w ich mieszkańcach skazanych na samotność konieczność rozmowy z samym sobą, gdy obok nie ma kompanów. Stąd ta wspaniała improwizacja prawie zawsze w tonie pozytywnym, wyrażająca zachwyt dla całej krainy, konia, pracy na sawannie, tęsknotę za nieobecną tu dziewczyną. Może nieco idealizuję teraz to wszystko, ale wyprawa była naprawdę fascynująca, niezapomniana. Dzięki, dzięki wielkie, panie José Natalio

Estrada, dzięki, wspaniali jeźdźcy!

Już chyba w czerwcu 1972 roku nawiązałem kontakt z Wyższym Instytutem Pedagogicznym w Caracas, gdzie od października miałem rozpocząć pracę. Spotkałem tam moje dwie znajome z kursu w Maladze w 1967 roku, Josefinę Falcón de Ovalles i Ernestinę Salcedo. Obie wykładały na tej uczelni i dzięki nim poznałem osobę, z którą do końca pobytu w Wenezueli utrzymywałem najżywsze kontakty. Była to nauczycielka języka hiszpańskiego w znanym karakaskim liceum, Olivia Carmona. Jak większość intelektualistów wenezuelskich Olivia miała poglądy mocno lewicowe, by nie powiedzieć komunizujące. Z pewnością wiedziała, w jaki sposób trafiłem do Wenezueli, a mimo to właśnie z jej strony spotkało mnie najwięcej życzliwości. Bezpośrednim powodem jej poznania był fakt, że jej ojciec pochodził właśnie z Równin, z miasteczka Elorza nad rzeką Arauką. Nagrałem z nim bardzo długą rozmowę, podczas której czytał mi wiersze ludowych twórców z Równin. Było to na krótko przed jego śmiercią i Olivia prosiła mnie potem o to nagranie, by zachować na pamiątkę jego głos. Kolejnym mężem Olivii został wówczas Artajerjes Muñoz, bardzo młodo prezentujący się u jej boku wiotki efeb. Oboje towarzyszyli mi w kilku wypadach poza Caracas.

Najciekawszym był kolejny wyjazd na Równiny w Stanie Apure. Było to chyba gdzieś w okolicy San Juan de Payara, na południe

od San Fernando. Trwała pora deszczowa i przecinaliśmy ogromne rozlewiska (*esteros*) łodzią motorową sterowaną po mistrzowsku przez niezwykle sympatycznego, cały czas promiennie uśmiechniętego tubylca o ogorzałej od słońca twarzy. Dotarliśmy do jakiejś hacjendy stanowiącej małą zadrzewioną wysepkę w bezmiarze wód. Właściciel o wyglądzie patriarchy dał się namówić na wywiad ze mną. Niestety, nie zaopatrzyłem się wówczas w magnetofon, a notatki w zeszycie to jednak zdecydowanie nie to samo. W drodze powrotnej do Caracas, po przekroczeniu mostu na Apure za San Fernando skręciliśmy w prawo w kierunku miasteczka Guayabal, by zabrać stamtąd matkę Olivii. Gdy już wyjeżdżaliśmy na główną drogę do Caracas, ujrzeliliśmy Metyskę niosącą na głowie wielki stos dużych, cienkich, okrągłych placków z maniokowej mąki, zwanych *casabe*. To indiański chleb w całym Basenie Morza Karaibskiego. Jak bardzo uwielbiają go nadal Wenezuelczycy miałem okazję się przekonać, gdy Olivia natychmiast zatrzymała samochód, kupiła kilka placków od owej kobiety i cała trójka jeła pałaszować je z wielkim apetytem. Mnie wydały się nieco suche i lekko wiórowate.



Na św. Jana pojechaliśmy razem do murzyńskiego miasteczka Curiepe, w regionie Barlovento (stan Miranda). Odbywa się tam wówczas wielki ludowy festyn i nocą mieszkańcy grają na długich drewnianych bębnach *mina* i krótszych *curbata* oraz innych instrumentach perkusyjnych, na przykład *quitiplás*, czyli bambusowych rurkach, którymi wybija się rytm uderzając o ziemię. Zabawa zakrapiana jest obficie gorzałką z trzciny cukrowej i rumem. Olivia, chcąc zachęcić pewną czarną *doñitę* (miłą panią), jak ją nazywała w rozmowie, do interesujących wynurzeń natury folklorystycznej, wręczyła jej butelkę rumu.

Aliści *doñita* okazała się na tyle niewdzięczna, że zawładnąwszy bezcennym łupem miast snuć ciekawe opowieści obdarzyła biedną Olivie wiązką soczystych inwektyw. Jeszcze raz potwierdziło się, że odpust czy to w Łowiczu czy w Curiepe to nie najlepsza okazja do zasięgania rzeczowych informacji.

W lipcu 1972 roku odwiedziłem dwukrotnie wenezuelską Gujanę, czyli wschodnią część stanu Bolivar, gdzie rozgrywa się akcja powieści *Canaima* Gallegosa. Obszar to zupełnie inny, niż Wielkie Równiny. Północną jego granicę wytycza środkowy i dolny bieg Orinoko, „Ojca” wenezuelskich rzek. Ogromną atrakcją turystyczną jest leżący stosunkowo blisko granicy z Brazylią płaskowyż zwany *Gran Sabana* (Wielka Sawanna), z którego wyrastają gigantyczne „stoły” skalne, zwane *tepuyami*, porośnięte tropikalną dżunglą. Ze szczytu jednego z nich, *Auyantepuy*, spada najwyższy na świecie Wodospad Angela, odkryty w 1935 roku przez amerykańskiego pilota o tym nazwisku. Ma ponad tysiąc metrów wysokości. Jego indiańska nazwa brzmi: *Churún Merú*.

W biurze podróży w Caracas, gdy czekaliśmy na autokar, który miał nas zawieźć na lotnisko, pojawiła się pani o europejskim wyglądzie w towarzystwie młodej ósóbki i spytała po hiszpańsku, czy ktoś z uczestników wyprawy mówi po niemiecku. Zgłosiłem się i zostałem opiekunem Helgi Geuer z Akwizgranu, młodej nauczycielki w szkole dla dzieci upośledzonych umysłowo

(*imbizile Kindern*). Helga co roku zwiedzała atrakcyjne zakątki świata, filmując je i robiąc przepowiednie. Po powrocie do Akwizgranu prezentowała te materiały swoim uczniom. Tym razem odwiedziła zamieszkałą w Caracas ciotkę (tę właśnie panią, z którą weszła do biura) i wybierała się tak jak ja do Canaimy w sercu wenezuelskiej Gujany. Poleciliśmy najpierw do Ciudad Bolivar, stolicy stanu. Nie zapomnę widoku szerokiej wstęgi Orinoko w dole. Potem kontynuowaliśmy podróż mniejszym samolotem, który poszybował daleko na południe mijając Canaimę, specjalnie po to, by zatoczyć koło w przepastnym skalnym kanionie słynnego Wodospadu Angela. Wszyscy przykleiliśmy twarze do okienek i z emocją przyglądaliśmy się tym spadającym z ogromnej wysokości masom wody i potężnym, pionowym ścianom skalnym. Choć samolocik zatoczył aż dwa koła, trwało to zbyt krótko, by nasycić wzrok tym cudownym widokiem.

Zaraz potem zawróciliśmy na północ i za parę minut lądowaliśmy w Canaimie. I znów baśniowa sceneria: rzeka Carrao (dopływ olbrzymiej Caroní, która wpada do Orinoko) tworzy tu rząd potężnych, rozdzielonych pasmami bujnej roślinności wodospadów zwanych *Salto Hacha* (Wodospad Siekiera), a te z kolei – spore jezioro o nazwie *Laguna de Canaima*. Prąd jest tak silny, że woda w jeziorze ciągle wiruje, aż wreszcie wypływa z niego jako szeroka, rwąca rzeka, zmierzając ku pobliskiej, jeszcze większej Caroní. Woda, na skutek naturalnych

barwników mineralnych i roślinnych, ma niesamowity zupełnie kolor coca-coli lub jeśli ktoś woli, przejrzystego wiśniowego soku. W niej, dość daleko od brzegu jeziora, rosną trzy piękne palmy. W tle ogromne stoły skalne. Sawanna przeplata się z dżunglą. Na brzegu jeziora zbudowano małą, śliczną wioskę dla turystów. Domki w stylu indiańskich chat, kryte strzechą. Obok wysoko położonej restauracji, z której roztacza się wspaniały widok na jezioro i wodospady, na drzewie, wielkie kolorowe ary (*guacamayos*). Ich opiekun czule rozmawia z nimi po węgiersku.

Już na miejscu poznaliśmy sympatyczną Mulatkę z holenderskiej wyspy Curaçao. Miała na imię Margarita i zupełnie nieźle mówiła po hiszpańsku. Nie miała żadnych kłopotów z porozumiewaniem się z Helgą: holenderski jest bardzo zbliżony do niemieckiego, a poza tym, zdaje się, obie znały trochę angielski. Byliśmy najmłodszymi uczestnikami tej wycieczki i trzymaliśmy się razem. We trójkę wybraliśmy się w dół rzeki Carrao dochodząc do dużej, okrągłej opuszczonej wówczas indiańskiej chaty. Takie pojedyncze chaty zwane *churuatas* mieszczą całą wioskę i są typowe dla Indian wenezuelskich. Na obszarze Stanu Bolívar mieszkają *Maquiritare*, *Panare*, *Piaroa*, *Shiriana*, a konkretnie tu, na Wielkiej Sawannie, *Pemonowie*, zwani także *Taurepanami*. Owa *churuata* należała więc z pewnością do tych ostatnich. W pobliżu spotkaliśmy indiańską rodzinę. On tulił w ramionach niemowlę, a ona właśnie piekła *casabe*, opisane wcześniej maniokowe placki. Obok, na poprzecznym drągu, wisiał *sebucán*,

długa rura pleciona z liści palmowych, do której przez jej górny otwór wsypuje się i ubija utarty gorzki maniok. Elastyczna konsystencja tego urządzenia powoduje, że pod wpływem ciężaru jego ścianki wyciskają z manioku trujący płyn, który zbiera się do stojącego pod *sebukanem* naczynia. Po zagotowaniu służy jako zupa oraz do przygotowania octu i miodu. Substancje trujące ulatniają się podczas gotowania.

Innym razem nasz „tercet egzotyczny” powędrował w górę Carrao, ścieżką przez dżunglę, w której, o dziwo, panowała zupełna cisza: nie słychać było śpiewu ptaków, nie płoszyliśmy żadnych zwierząt. Doszliśmy do wielkiego leśnego muzeum „Rudy Jungle” (Dżungla Rudolfa). Przyjęli nas właściciele: ów Rudy i jego żona, oboje Holendrzy. Na ścianach wisiały wspaniałe trofea myśliwskie: skóry jaguara, kajmana, wielkiego mrówkojada, boa, anakondy, rogi tutejszych jeleni, spreparowane głowy tapirów, mnóstwo żywych i wypchanych kolorowych ptaków. Wróciliśmy do naszej wioski na przełaj przez sawannę. Na poszukiwanie diamentów pojechałem bez moich przyjaciółek: Helga była tak spieczona i obolała, że Margarita postanowiła zostać z nią w wiosce, by ją kurować. Najciekawsza była podróż łodzią wiosłową w tunelu utworzonym nad rzeczką przez gęste gałęzie drzew. Z ich konarów zwisały długie, brodate epifity, a wśród nich co jakiś czas wabiły wzrok prawdziwe klejnoty: piękne, liliowe orchidee. Potem było nudne grzebanie w piasku na dnie małego strumyka, przesiewanie tego piasku przez

duże, płaskie sita. W efekcie ktoś znalazł dwa malutkie diamenty, a reszta śmiertelnie się wynudziła...

Przez jakiś czas trwała korespondencja między Helgą a mną. Przysłała ładne zdjęcie, które zrobiła mi na częściowo zatopionej indiańskiej łodzi nad rzeką Carrao. Napisała też Margarita. Okazało się, że odwiedziła Helgę w Akwizgranie...

ciąg dalszy nastąpi



Quinta Anauco, Caracas

Zygmunt Wojski, ur. w 1941 r., absolwent filologii romańskiej na Uniwersytecie Warszawskim. Studiował filologię hiszpańską i hispanoamerykańską na Uniwersytecie Hawańskim (Kuba), ukończył wyższy kurs filologii hiszpańskiej w Maladze i kurs szkoły badań lingwistycznych w Madrycie. Odbił studia doktoranckie na Uniwersytecie Warszawskim, a w 1984 r.

obronił pracę doktorską "Particularidades léxicas del español hablado en los Llanos de Venezuela" i uzyskał tytułu doktora nauk humanistycznych. Studia podyplomowe odbył w Institut d'Etudes Hispaniques na Sorbonie, pod kierunkiem prof. Bernarda Pottiera.

W latach 1972-1973 przeprowadzał badania nad hiszpańszczyzną mówioną w Wenezueli i prowadził seminarium z leksykografii hispanoamerykańskiej w Instituto Pedagógico Nacional w Caracas. Był też wykładowcą metodyki nauczania języka hiszpańskiego dla cudzoziemców w Instituto de Cultura Hispánica w Madrycie (1973-76). W latach 1976-2007 wykładał język i kulturę portugalską, gramatykę francuską i hiszpańską, historię i kulturę Ameryki Łacińskiej oraz historię języka hiszpańskiego w Instytucie Filologii Romańskiej Uniwersytetu Wrocławskiego, gdzie także prowadził proseminaria poświęcone hiszpańszczyźnie amerykańskiej.

W latach 1976-2006 prowadził badania lingwistyczne i wykłady na Kubie, w Meksyku, w Niemczech, we Francji, w Danii, w Hiszpanii, w Portugalii, w Brazylii, w Argentynie, w Gwatemali, w Urugwaju, w Panamie. W tym samym okresie przygotował serię sesji naukowych poświęconych kulturze i cywilizacji portugalskiej (poezja Camõesa i Pessoa, Lizbona, Madera, Azory, twórczość José Saramago, Amália Rodrigues).

W 1985 r. po raz pierwszy w historii Uniwersytetu Wrocławskiego wprowadził lektorat języka portugalskiego. W latach 1998-1999 był kierownikiem Zakładu Iberystyki Uniwersytetu Wrocławskiego. Mimo, że w 2006 roku przeszedł na emeryturę, w latach 2007-2010 był starszym wykładowcą w Wyższej Szkole Zarządzania Marketingowego i Języków Obcych w Katowicach, a w latach 2011-2012 – starszym wykładowcą w Państwowej Wyższej Szkole Zawodowej im. Angelusa Silesiusa w Wałbrzychu.